№ 12. Warszawa, dnia 19 (7) Marca 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

M Y

z Bożej Łaski

ALEXANDER III

Cesarz i Samowładca

Wszech Rosyi, Król Polski, Wielki Książe Finlandzki etc. etc. etc.

Wiadomo czynimy wszystkim Naszym wiernym poddanym. Podobało się Wszechmogącemu Bogu w Jego niezbadanych drogach nawiedzić Rosyę strasznym ciosem i jej Dobroczyńcę, Cesarza Aleksandra II nagle powołać do Siebie. Padł od świętokradzkich rąk morderców, którzy się już niejednokrotnie targali na Jego drogie życie. A targali się oni na to drogie życie dla tego, że widzieli w nim osłonę i tarczę wielkości Rosyi i pomyślności rosyjskiego narodu.

Korząc się przed niezbadanymi wyrokami Opatrzności Boskiej, zasyłamy do Wszechmocnego Nasze modły o spokój czystej duszy Naszego Zmarłego Rodzica. Wstępujemy na Nasz praojcowski tron Państwa Rosyjskiego i nierozdzielnie z nim złączonego Królestwa Polskiego oraz Wielkiego Księstwa Finlandzkiego. Przyjmujemy włożone na Nas przez Boga ciężkie brzemię z mocną wiarą w Jego Wszechpotężną pomoc. Oby pobłogosławił pracę Naszą dla dobra Naszej ukochanej Ojczyzny i oby siły Nasze skierował do szczęścia wszystkich Naszych drogich poddanych.

Ponawiając przed Bogiem Wszechmogącym złożony przez Rodzica Naszego a przez przodków Naszych przekazany święty ślub poświęcenia całego Naszego życia staraniom o pomyślność, potęgę i honor Rosyi, wzywamy wszystkich Naszych wiernych poddanych, aby przed ołtarzem Najwyższego połączyli swoje modły z Naszymi i rozkazujemy im przysiądz na wierność Nam i Naszemu Następcy, Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiemu Księciu Mikołajowi Aleksandrowiczowi.

Dan w Petersburgu, w roku od Narodzenia Chrystusa Pana 1881, a panowania Naszego pierwszego.

Na oryginale podpisano własną Jego Cesarskiej Mości ręką:

ALEXANDER.

(Gon. Urzęd.)

JW. Generał-Gubernator Warszawski otrzymał następujący telegram z Petersburga:

„Dziś, d. 1 (13) marca, o godzinie pierwszej minut czterdzieści pięć, w chwili powrotu Najjaśniejszego Pana z przeglądu warty, spełniony został zamach na Święte życie Jego Cesarskiej Mości za pomocą rzucenia dwóch wybuchajacych przyrządów. Pierwszy z nich uszkodził powóz Jego Cesarskiej Mości. Wybuch drugiego spowodował ciężkie rany Najjaśniejszemu Panu. Po powrocie do pałacu zimowego Jego Cesarska Mość raczył przyjąć święte sakramenty, poczem spoczął w Bogu o godzinie trzeciej minut trzydzieści pięć po południu. Jednego ze zbrodniarzy schwytano.

Minister Spraw Wewnętrznych, Generał-Adjutant, hrabia Loris-Melikow."

W niedzielę, o godzinie 1-szej z południa, po ceremonii rozprowadzenia wart w Inżynierskim Michajłowskim Maneżu, Cesarz udał się na śniadanie do W. Ks. Katarzyny Michajłówny, gdzie zwykł był pijać kawę. Stąd wracał wybrzeżem kanału Jekaterynińskiego, obok Michajłowskiego teatru do zamku wąską ulicą (quai), którą z jednej strony opasuje mur ogrodowy, z drugiej —balustrada kanału. Karetę cesarską otaczało sześciu kozaków konnych. Po za nią jechał w własnych sankach policmajster, pułkownik Dworzycki. W chwili, gdy kareta cesarska wjechała w uliczkę i minęła bramę ogrodu, cywilnie ubrany przechodzień rzucił w nią biały przedmiot, jak gdyby kulę śniegu. Nastąpił wybuch: kareta stanęła, spadł z konia kozak i dowódca konwoju. Przybiegł policmajster. Z karety wysiadł Cesarz i przeżegnawszy się, rzekł:

— *Jestem ocalony, bądźcie spokojni; trzeba obejrzeć rannych.*

W tej chwili zbliżyło się dwu majtków, prowadzących schwytanego przestępcę. Cesarz popatrzał na niego uważnie i spytał: „*Jak się nazywasz?*"—„*Griaznow.*" Potem zwrócił się ku rannemu kozakowi, otoczony już dość liczną gromadą nadbiegłych przechodniów, gdy nagle ktoś znowu rzucił w środek grupy takiż biały przedmiot. Rozległ się znowu huk. Przez chwilę widać było tylko dym biały, śród niego czarniały ciała 20 przeszło zabitych i rannych. W liczbie ostatnich był Cesarz. Pocisk podruzgotał Mu nogi aż do kolan, poszarpał brzuch, pokaleczył twarz. Według opisu naocznego świadka widok był okropny. Na ziemi leżeli zabici i ranni, a nieopodal nieruchomy na śniegu Cesarz, bez czapki i płaszcza, w mundurze saperów, nogi miał rozstrzaskane, ubiór podarty, a krew rozlewała się po śniegu.

Opowiadający te szczegóły oficer Nowikow rzucił się do Cesarza ze słowami: „*Bo-*

że mój, co się stało z Waszą Cesarską Mością?“ Przy pomocy nadbiegłych marynarzy podniósł rannego, obejmując Go prawą ręką, a lewą przytrzymując na piersiach; majtkowie podnieśli nogi, nie wypuszczając z rąk broni. Cesarz wyszeptał „stój,“ usiłując podnieść rękę do czoła, które całkiem było krwią zalane.

W tej chwili nadjechał Wielki Książe Michał. *Aleksandrze, jak się czujesz?* zapytał nachyliwszy się do rannego. Cesarz nie odpowiedział. Książe okrył głowę Cesarza czapką jednego z obecnych, poczem smutny pochód ruszył naprzód. Potrzeba było sani. Dorożka, która stała na ulicy, okazała się niedogodną, a konie pułkownika Dworzyckiego, przerażone wybuchem, rozbiegały się. Sprowadził je nakoniec kapitan sztabu Frank. Nowikow zwrócił się do Wielkiego Księcia z prośbą, by pozwolił przenieść Cesarza do pobliskiego domu dla obwiązania głowy, ale Cesarz, oczywiście przytomny jeszcze, wyrzekł z cicha; *Zanieście mnie do pałacu, tam powinienem umrzeć.* Były to ostatnie słowa. Złożono go na sprowadzonych sankach całego we krwi i odwieziono do pałacu wzdłuż kanału Mojki, mostu Koniuszennego i ulic: Moskowskij Pereułok i Wielka Miljonnaja. Za sankami biegł tłum, wzrastający co chwila. Jedni żegnali się, drudzy płakali.

W domu stracił przytomność. Kości goleniowe były zupełnie zniszczone, pozostały tylko muskuły łydkowe.

Nadbiegli nadworni lekarze, którzy jednozgodnie orzekli, że wszelki ratunek jest niemożliwy. Pomimo to dokonano opatrunku obu nóg. Botkin zaproponował wdychanie tlenu. Ożywienie chwilowe pozwoliło Cesarzowi przyjąć ostatni sakrament.

O godzinie 3 minut 35 po południu proporzec, powiewający na zamku, schylił się i opadł — Cesarz Aleksander II życie zakończył. Przy łożu zmarłego odprawił nabożeństwo spowiednik—wszyscy członkowie Cesarskiej rodziny byli obecni.

Słówko o mordercach. Ten, który pierwszy rzucił bombę, został schwytany. W pierwszej chwili nazwał się Griaznowem z Wiatskiej gubernii; okazało się jednak później, że jest to niejaki *Rysaków*, słuchacz Instytutu Górniczego, rodem z Nowgorodzkiej gubernii.

W nieznanym człowieku, który rzucił drugi pocisk wybuchający i umarł z ran, Rysakow po przedstawieniu mu trupa, uznał swojego spółwyznawcę politycznego. Mieszkanie, z którego przestępcy otrzymali pocisk, odnaleziono w nocy. Gospodarz jego po przybyciu policyi zastrzelił się. Mieszkającą z nim kobietę aresztowano. Znaleziono wybuchające przyrządy i jeden egzemplarz rewolucyjnej proklamacyi. Do mieszkania tego przybył młody człowiek, którego natychmiast aresztowano. Strzelił sześć razy z rewolweru i ranił trzech policyantów.

Ogółem zabito i raniono osób 21—w tej liczbie niebezpiecznie pokaleczony policmajster pułkownik Dworzycki.

Ciało zmarłego Cesarza zabalsamowano. W tym celu otworzono je. Cesarz, jak się okazało, miał jeszcze silny i zdrowy organizm. Duszność, która niepokoiła Go w ostatnich latach (astmę) spowodowały nie zmiany w organizmie, lecz nieznaczne rozszerzenie naczyń krwionośnych w płucach.

W dniu 15 b. m. o godzinie 8-ej wieczorem przeniesiono zwłoki Monarchy z sypialni do Wielkiej Cerkwi pałacu Zimowego.

TEORYA NIEWOLNEJ WOLI

rozważana ze strony praktycznej

według Sieczenowa.

W *Wiestniku Jewropy* za m. styczeń b. r. znakomity psycholog rosyjski I. Sieczenow, pomieścił rozprawkę pod powyższym tytułem, z której treścią pragniemy bliżej poznajomić czytelnika.

Ponieważ psychologia, mówi autor, ma bezpośredni związek z życiem a nauka jej niezawsze jest dostępną nawet ukształconym warstwom naszego społeczeństwa, dla uniknienia przeto opacznego tłomaczenia jej zasad, korzystnem jest objaśniać ją przez wykazywanie skutków praktycznych. Skutki teoryi niewolnej woli mogłyby się wydać nader zgubnymi tym, którzy mają o niej tylko powierzchowne pojęcie. Odrzucając bowiem zasadę wolnej woli, na której opiera się zarówno każdy pojedyńczy czyn człowieka, jak i ich suma, wyrażona w stosunkach społecznych, możnaby przyjść do wniosku, że ludzie będąc automatami, poruszanymi siłą niezależnych od nich przyczyn, nie mogą być za nic odpowiedzialni, a temsamem nie miałaby zasady nietylko zasługa cnoty i hańba występku, ale i żadna umowa nie posiadałaby mocy obowiązującej, gdyż zawierający ją nie rozporządzałby wolną wolą. Nakoniec przekonanie, że nikt nie jest odpowiedzialnym za swe czyny, sprzyjałoby zaniedbaniu doskonalenia się, a następnie wywołałoby straszny upadek moralny. Mylność jednak takiego wywodu okazuje się w praktyce życia, która za podstawę prywatnych i społecznych stosunków przyjmuje nie rojenia metafizyki, w rodzaju (nieulegającej prawom przyrodniczym) filozoficznej wolności woli, lecz dane ogólne, zdobyte i wyrobione doświadczeniem (jedyny z tego prawidła wyjątek stanowi pogląd na znaczenie kary, lecz i tu praktyka zwykle odstępuje od teoryi.).

Zestawiając ze sobą teoryę wolności woli z teoryą jej niewolności, autor dochodzi do wniosku, że zgodnie z zasadami tak jednej jak i drugiej, człowiek ma zawsze świadomość swojego czynu, na który składa się zarówno jego sumienie jak i rozum, zatem w granicach obu teoryj *dany czyn z równą słusznością można przypisać człowiekowi jako moralnie rozumnej istocie.* Że zaś wyrzuty czy to sumienia, czy to rozumu, może odczuwać zarówno wyznawca teoryi wolności woli, jak i jej przeciwnik, więc i ten ostatni, *jako istota moralnie rozumna, jest odpowiedzialny przed sądem własnego sumienia i rozumu.*

Nadto, ponieważ człowiek, przypatrując się starciu pobudek, walczących w jego świadomości przed powzięciem postanowienia, przyjść musi do przekonania, że mógłby postępować różnie, mimo jednakich warunków położenia — co jedni przypisują „swobodzie wyboru“ a drudzy rozmaitości działających na postanowienie pobudek — schodząc na grunt praktyki, nie zaciemnionej teoretycznymi wywodami, może-

---

DZIKI TOMEK.

II.

Usłyszawszy to Jędras, zbladł jak chusta, potem chciał uciekać, pochwycono go, a że był strasznie silny, szamotać się zaczął; nie zdołał jednak przemódz parobków, którym wszyscy obecni pośpieszyli z pomocą. Nie wiedzieć skąd, znalazły się sznury i wkrótce obwiniony miał mocno skrępowane ręce.

Zaczęto przetrząsać mu kieszenie i wówczas jeden z obecnych nadeptał na twardy przedmiot, schylił się i podniósł pugilares zabitego; poznała go żona jego i wszyscy obecni, w pugilaresie były pieniądze i właściwe weksle, o czem natychmiast przekonała się żona.

Pugilaresu wprawdzie nie znaleziono przy Jędrasie, tylko koło niego; przecież domyślono się zaraz, że niezawodnie wypadł mu z zanadrza w chwili szamotania się z wiążącymi go ludźmi, albo też sam go wyrzucił. Ale on odparł zmięszany, że mógł równie dobrze podrzucić go kto z obecnych, że mógł także być nieostrożnie wyrzucony z wózka, który przestrząsano.

W kieszeni jego było tylko kilka sztuk miedzianej monety i nowiuteńka czterdziestówka srebrna. Aronowa zawołała, że czterdziestówka ta pochodzi od jej męża, ale Jędras, który już odzyskał przytomność, wołał głośniej jeszcze, że już nie samą karczmę, ale widać i pieniądz żydzi wzięli w arendę, kiedy każdy z ich kieszeni pochodzić musi.

Nic było na to co odpowiedzieć; to też nie odpowiadano. Aronowa lamentowała, zawodziła, powtarzała swoje, wymyślała Jędrasowi, i byłaby przyskoczyła mu do oczów z paznokciami, gdyby jej nie powstrzymano.

On przeczył wszystkiemu. Obecni pomimo to nie zdawali się wątpić o jego winie, i gdyby sprawę sądzono na miejscu, niezawodnie byłby źle na tem wyszedł.

I tutaj nie stała ona świetnie bynajmniej. Wszystkie pozory świadczyły przeciw podsądnemu, a nadewszystko obciążającą była okoliczność, iż szedł w stronę lasu przed wieczorem i nie umiał się z tego wytłomaczyć, że jego pałką widocznie zabity został Aron, a wreszcie, że u nóg jego znalazł się pugilares. Każdy z tych faktów był sam przez się wystarczający do potępienia oskarżonego, a cóż dopiero ugrupowane razem i przedstawione w jaskrawem świetle przekonań prokuratorskich.

Nie dziw więc, że młody adwokat skupiał całą uwagę, i wówczas, gdy prokurator odtwarzał malowniczo prawdopodobną scenę, jaka odbyła się w złowrogim lesie pomiędzy mordercą a ofiarą, on szukał słabych punktów w zestawieniu faktów, za pomocą których mógłby zwalić budowę jego dowodzeń.

Ruchliwa twarz jego przedstawiała wyraźnie pracę myśli i tak zupełne zainteresowanie się przedmiotem, iż nawet owe łagodne, siwe oczy spoglądały ku niemu daremnie i wzajem spojrzenia nie odbierały.

Jakże różnym od niego był podsądny, który siedząc za nim z opuszczoną głową, ze zwisłemi ramionami, wodził błędnym wzrokiem wokoło! Trudno było nawet rozeznać, czy interesowała go tu własna sprawa? czy też tylko na tych grubych, niepodatnych do zmian wyrazu rysach nie wypisało się to zainteresowanie? czy nie doznawał wrażeń? czy też wrażenia te złożonej natury były dla niego samego nie zrozumiałe i nie przybrały dość konkretnej formy, ażeby wyryć się na twarzy? Zdawał się on więcej zdziwionym i olśnionym, niż niespokojnym; prawda, iż widział tutaj rzeczy, o których nie miał nigdy wyobrażenia.

my powiedzieć, iż niezależnie od uznawania zasady wolnej woli lub jej zaprzeczenia, w obu razach, *każdemu człowiekowi z góry przypisuje się możność postępowania w różny sposób przy jednakich warunkach — to jest, dobrze lub źle.*

Jeśli jednak wezmiemy pod uwagę rozumowanie teoretyczne, różnica między stronnikami wolnej woli i jej przeciwnikami będzie w praktyce także ogromna. Pierwsi bowiem utrzymują, że człowiek może nietylko postępować dowolnie, lecz ma prócz tego absolutną możność robienia w danym kierunku tak albo inaczej, a to na zasadzie przysługującej mu, ich zdaniem, bezwzględnej swobody wyboru; drudzy zaś powiadają, że co najwyżej można przyjąć ogólną możność postępowania w różny sposób, i dla tego dałoby się tylko przypuszczalnie, z większem lub mniejszem prawdopodobieństwem utrzymywać, iż dobry człowiek postąpi dobrze, a zły — źle.

Zebrawszy takie ogólne dane, autor przechodzi do rozbioru zarzutów wymierzonych przeciw teoryi braku wolnej woli, i utrzymuje, że los np. danej umowy nie zależy od tego, czy ludzie, którzy ją zawierali, mają wolną wolę lub nie, ale od tego, czy mają sumienie, rozum i poczucie obowiązku. Dopóki te ich przymioty trwają, umowa może być dotrzymaną, bezwzględu na to, czy strony przypuszczają byt wolnej woli lub nie, jeśli tylko uposażone są w odpowiednio równe warunki moralne i umysłowe. Odpierając zarzut, że sumienie i rozum mogą być inne u ludzi, wyznających zasadę wolnej woli, a inne u tych, którzy jej zaprzeczają, autor rozbiera wpływ, jaki może mieć myśl o braku wolnej woli w człowieku na jego uczucie moralne. Uczuciem moralnem nazywa on zbiór odpowiednich przymiotów duszy, wypływających ze wspólnego pożycia ludzi. Miłość, szacunek, zaufanie — oto główne rysy uczucia moralnego i węzłów łączących rodzinę i społeczeństwo; miłość dobra i prawdy, poczucie obowiązku i wyrozumiałość dla bliźniego, oto główne rękojmie moralności człowieka w każdej sferze jego działania. W uczuciu przeto moralności widzi on podstawę i regulatora każdej społeczności. Na zapytanie, jak się ono rozwija, odpowiada, że tak jak w estetyce praktyczny cel ukształcenia polega na wyrobieniu smaku co do zewnętrznego piękna, tak i w sferze moralności celem jej ostatecznym może być nie tylko zrozumienie lecz i zamiłowanie wewnętrznej piękności czynów ludzkich. Nie dopuszcza, by myśl o braku wolnej woli mogła mieć wpływ ujemny na upodobanie człowieka w tych ostatnich. Wartość bowiem moralna czynu zależy od jego celów, stosunku do osób, do społeczeństwa, od zewnętrznych warunków wykonania, nigdy zaś od uwzględnienia skrytej przed nami psychiczno-genetycznej strony czynu. Od tego, z jakich pobudek i drogą jakiego procesu on wynikł, zawisło policzenie go na karb zasługi albo winy. Wielkie i szlachetne czyny mogą być dokonywane z pobudek zimnej samolubnej rachuby a nawet w celu oszukania, co nie odbiera im charakteru wielkości i szlachetności. Gdyby strona moralna czynów ludzkich zależała choć cokolwiek od wewnętrznych pobudek wolnej woli, wtedy bezwątpienia teorya jej niewolności zburzyłaby moralność.

Przewidując zarzut, że pozbawianie człowieka wolnej woli i przerabianie go na automat osłabia w nim chęć do dobrych czynów, Sieczenow odpowiada, że przekonanie o wolnej woli, bez względu na upowszechnienie jej między ludźmi, jest tem, co zwyczajnie nazywamy hypotezą naukową. Bo gdyby obecność wolnej woli w człowieku była tak widoczną, jak widocznemi są np. oczy lub uszy, to nie byłoby o nią sporu. Z faktu zaś tego, że spór istnieje, wynika, iż zjawiska, objaśniane wolną wolą, można sobie wytłomaczyć i innym sposobem — czyli, że ani w treści, ani w charakterze tych zjawisk niema żadnych specyalnych oznak wolnej woli. Wobec tego, teorya o jej braku, nie może kaleczyć faktów, będących po największej części wyrazem danej osobistości człowieka i wywołujących nasze sympatye lub antypatye. Z tej więc strony myśl o nieistnieniu wolnej woli nie może wpływać na zmianę zamiłowania człowieka do dobrych czynów. Nie zmienia ona właściwie i znaczenia tej walki wewnętrznej, która poprzedza dokonanie czynu, gdyż z charakteru wolnej woli przeobraża się w pobudkę rozstrzygającą o tym czynie, wśród współzawodnictwa innych pobudek. Niemniej nie odejmuje możności postępienia w ten lub inny sposób przy jednakich warunkach i nie tamuje swobody ruchów, czyniąc człowieka zależnym tylko od samego siebie. Jakkolwiek zaś teorya, o której mówimy, pozbawia człowieka narzuconego mu przymiotu dobrej woli, nie krępuje mu tem władzy działania i wraca go prawom sfery, w której przeznaczono mu żyć i działać. Wobec tego, teorya ta nie przeszkadza ludziom wchodzić w umowy i zobowiązania, uważać się za członków społeczeństwa, obdarzonych zdolnością do działań prawnych, choć zdolność ta wypływać będzie nie z przymiotu jej wolnej woli.

Następnie rozbiera autor kwestyę poczytalności w odniesieniu do winy lub zasługi i powiada, że jeśli człowiek czynem swoim oddaje usługę bliźniemu lub społeczeństwu, nie pytamy, co było wewnętrzną jego pobudką, a zasługa jego w takim razie będzie zawsze zasługą, za którą go wynagrodzą, bez względu na to, czy działał z wolną wolą, czy nie.

Bywają wypadki, w których rozbieramy pobudki danego czynu i jeśli wykryjemy zupełną w nich bezinteresowność, moralny charakter takiego czynu przenosimy na samego człowieka i obdarzamy go sympatyą. W tym razie czyn uważamy za osobistą zasługę i stopień sympatyi pozostaje w związku nietylko z charakterem, lecz i z wewnętrzną genezą czynu.

Stopień sympatyi, wypływającej z przymiotów danego czynu, zależy od osobistego smaku moralnego człowieka i od wartości jego pobudek wewnętrznych. Jedni cenią więcej odwagę, drudzy usposobienie spokojne. Jedni w wolnej woli widzą przyczynę, podwyższającą wartość czynu, zwłaszcza gdy on mógł być spełnionym z mniejszą szlachetnością, bez uszczerbku dla honoru i dobrego imienia wykonawcy; lecz i w oczach tych, co zaprzeczają bytu wolnej woli, czyn taki nie traci przymiotu szczególnej zasługi i daje świadectwo dzielnych zasad moralnych. Słowem, nagradzając kogoś za dany czyn sympatyą lub antypatyą, ludzie kierują się własnem pojęciem o moralności i na nich teorya braku wolnej woli nie może mieć żadnego wpływu.

Co do jedynej różnicy, wypływającej z powyższej teoryi i odnoszącej się do poglądu na występek, winę i karę, autor powołuje się na N. S. Tagancewa, który powiada, że czyny człowieka tak dobre jak i złe, pożyteczne i szkodliwe, w szczególności zaś przestępstwa ulegają bezwarunkowo prawom przyczynowości, podobnie jak wszystko w naturze. Nie możemy orzec, czy dany występek mógł lub nie mógł być spełnionym. Musiał się spełnić, jeśli tylko istniała pewna suma przyczyn i warunków, które go spowodowały.

Ze stanowiska jednak teoryi wolnej woli, w danym wypadku, dana osobistość, jako

---

Jędras wychował się na pół dziko w leśnej ubogiej okolicy; od dzieciństwa pasał bydło i strzegł je od wilków, które wieczniе zrządzały w niem szkodę. Silny i śmiały, miał lat kilkanaście, gdy obronił od nich cielę matczyne. Żył więcej w lesie niż we wsi, lubił położyć się na mchach pod konarami starych sosen i słuchać tego szumu płynącego powietrzem i pątrzeć na chmury, które przelatują po nad ich wierzchołkami lub na gwiazdy, przesuwające się zwolna niebieskim obrotem. Tylko nie trzeba go było pytać, dla czego to lubił; z myśli, ani z marzeń swoich sprawy zdawać nie umiał, a gdyby go kto zapytał, byłby odpowiedział tak samo, jak inkwirentowi sądowemu, badającemu go, w jakim celu szedł wieczorem do lasu?

— A no tak!

Odpowiedź ta potępiała go bardzo, ale on tego nie był w stanie zrozumieć i nie umiał na swoją obronę przytoczyć faktu, iż często bardzo brał na obronę pałkę w rękę, i szedł w las położyć się pod sosnami; okoliczność tę jednak wykryło śledztwo i potwierdziło zeznanie wszystkich świadków, znających dobrze obyczaje Jędrasa.

Ale skądby tam prostemu człowiekowi takie rzeczy na myśl przyjść mogły, skąd on mógł wiedzieć, co mówiło przeciw a co za nim? On nie miał nawet tego zwykłego wychowania, jakiego zwyczajny chłop nabiera, bądź bawiąc się z rówiennikami, bądź przy robotach rozmawiając z różnymi ludźmi, bądź włócząc się po odpustach, jarmarkach i t. p.

Wychował się w lesie, gdzie ojciec jego był gajowym i drzewa znał daleko lepiej od ludzi. Później, kiedy ojciec odumarł go szesnastoletnim wyrostkiem a matka przeniosła się do wsi, to mu w tej wsi było tak obco i pusto, iż nie mógł się nagiąć do życia innych.

Prawda, że i rówieśnicy niezbyt przyjaźnie przyjęli go w swoje grono: śmieli się z niego, kiedy się o co pytał, śmieli, że nie umiał obrócić się przy robocie, i przezwali go od razu dzikim Tomkiem, a kiedy raz kacapi prowadzili na łańcuchu niezgrabnego niedźwiedzia, który mrucząc skakał i rozmaite sztuki pokazywał, to nie wiedzieć czemu, znów wołali na niego Tomek, a Tomka jak niedźwiedzia nazwali Mysiem. I tak się już potem zostało.

Inny byłby może na to nie zważał, śmiał się z przezwiska, powoli nawyknął do ludzi i ludzi do siebie przyzwyczaił. Ale on nie mógł. Była w nim jakaś hardość, która kazała postawić przeciw śmiechom ludzkim pogardę i obojętność.

Pozostał więc dzikim Tomkiem. We wsi mieszkał, ale się z nikim nie bratał, nikogo o nic nie prosił, brał sobie wprost, co mu było potrzeba, bo był silny jak wół, jak kot zręczny, a jak wąż przebiegły.

Strzeżono go się, ale ustrzedz się było trudno, a złapać na uczynku niepodobna.

To też nie dziw, że dziki Tomek patrzał na salę sądową, na sędziów, na publiczność i na swego obrońcę błędnemi oczami! Jemu się nawet nigdy nic podobnego nie przyśniło.

Kiedy go tutaj wprowadzono i zobaczył tę wysoką salę, o smukłych filarach, i obraz w złocistych ramach wiszący między oknami, i stół przy nim niby ołtarz, to podniósł rękę do czoła, żegnając się, i chciał przyklęknąć, jak gdyby wchodził do kościoła, chociaż kościół w Malińcach, jaki znał, i przez połowę nie był tak wspaniały.

Powiedziano mu, że to sąd. Dozorcy śmieli się z niego, ale teraz nie bardzo na to zważał: naprzód, że już był przywykł do śmiechu ludzkiego, a potem, że przypatrywał się i dziwił temu nowemu światu, który nagle odkrywał się przed jego oczyma, i sam nie wiedział, co się z nim działo.

Kazano mu usiąść; usiadł nieśmiało na brzeżku swojej ławki. Nie mógł pojąć, co znaczy ta sala tak wysoka, iż przypominała mu zielone sklepienie lasu, te filary proste i gładkie, niby pnie jodłowe. Żyrandol błyszczący setką świateł, których pro-

istota świadomie rozumna, moralna, rozróżniająca dobre od złego i swobodna w wyborze działania, a więc mająca możność powstrzymania się od występku bez względu na siłę pokuszenia — uznana będzie za przestępcę. Ze stanowiska zaś przeciwnej teoryi, taż sama osobistość, w temże położeniu, ze względu na charakter istoty niemającej wolnej woli, i dla tego niemogącej przy danych wewnętrznych i zewnętrznych warunkach nie spełnić tegoż przestępstwa — nie ulegnie potępieniu.

Aczkolwiek pierwsza teorya leży w duchu naszego prawodawstwa karnego, przejawianie się drugiej widzi autor w werdyktach sądów przysięgłych, które niejednokrotnie uznając podsądnego winnym danego wystąpku, dołączają okoliczności łagodzące jego winę, czem sąd ten w postępowaniu swojem sprzeciwia się zasadzie powyższej teoryi. Skoro bowiem podsądny uznany został winnym, przypuścić więc należy, że działał ze świadomością złego i z możnością powstrzymania się; czemże tu więc objaśnić okoliczności łagodzące? Tem tylko, że surowa formuła przestępstwa podszyta teoryą wolnej woli spotyka opór w samem sumieniu publicznem. Wolna bowiem wola powinna pociągnąć za sobą jeden tylko skutek — potępienie; łagodzące więc okoliczności pochodzą z przekonania sędziów, iż wola ta może uginać się pod wpływem pewnych pobudek; w takim jednak razie nie będzie ona już wolną.

Cóż począć z karą? Z uwagi na interes ogółu wypadałoby przestępcę usunąć ze społeczeństwa, bez względu na to, czy działał on z wolną wolą lub nie. W takim przecież wypadku naruszyłby się interes sprawiedliwości: karać bowiem można tylko winnego a winnym nie może być ten, kto działał bez wolnej woli. Stając przeto na gruncie braku tej ostatniej w człowieku, autor radzi społeczeństwu patrzeć na ułomności jego członków jak na skutki dziedzicznego usposobienia, nieokrzesania, grubych obyczajów, złego wychowania, głupoty, nędzy, próżniactwa i t. p., na mocy zaś tego, powiada, nie ma ono prawa oburzać się na wady jednostek, tem mniej zaś karać je sposobem zemsty za złe ich czyny. Społeczeństwo powinno przyjąć na się opiekę nad tymi ludźmi i starać się o ich poprawę, jak to czyni z waryatami i chorymi.

Zewnętrzna przeto strona czynów, którymi społeczeństwo chroni się od zepsucia swych członków, zostaje niezmienną, bez względu na to, czy uznajemy w nich byt wolnej woli lub nie. Zmienia się tylko ich charakter w tem znaczeniu, że na miejscu zemsty stawi poprawę.

Wobec trudności zastosowania konsekwencyi teoryi o braku wolnej woli do życia i niepodobieństwa wynalezienia formuły, któraby zaprowadziła stosunek między tą teoryą a gruntem poddanym jej działaniu, autor przywodzi w końcu następujące uwagi:

1) Przy najgorszem nawet przekręceniu teoryi o braku wolnej woli, przekręcanie to nie może wychodzić po za granice myśli, iż człowiek nie tylko nie jest odpowiedzialnym za swe czyny przed sądem społeczeństwa, lecz i przed własnem sumieniem.

2) W przypuszczeniu nawet możności powzięcia przez kogoś takiej myśli, teorya podobna może tylko ułatwić drogę do złych czynów, ale nigdy służyć do nich jako pobudka.

3) Drogę tę do złych czynów spaczona teorya ułatwia trojakim sposobem: jako argument do niedbania o sąd opinii publicznej — jako argument przeciw sądowi własnego sumienia — i wreszcie jako tolerowanie niektórych biernych stron charakteru.

4) Zachęcający do złego wpływ pierwszego argumentu, o ile wynika z fałszywie pojętego znaczenia teoryi, może przejawić się rozmaicie, stosownie do temperamentu człowieka a w szczególności jego zapalczywości, skłonności do gniewu i nienawiści.

5) Wpływ uspakajający spaczonego pojęcia teoryi na własne sumienie zdaje się zapowiadać okropnie, zwłaszcza kiedy teorya trafia na grunt zepsuty; lecz pogląd to mylny; gdzie nie ma wcale sumienia, tam nie czuje się i potrzeby spokoju; tam zaś, gdzie ono niezupełnie jeszcze zamarło, wywrzeć może raz zły, drugi raz dobry skutek, względnie do ilości pozostałej resztki sumienia.

6) stosunek fałszywego pojmowania teoryi do budzących się wyrzutów sumienia wyrazi się w zachęceniu do wytrwania w złem i nieżałowaniu złego.

7) Ze względu na ogólny charakter teorya ta prędzej zdolną jest uczynić człowieka pokornym niż zrozumiałym — fałszywe jej pojęcie przyczynić się może do wyrobienia raczej biernych niż czynnych stron charakteru, jak apatya, leniwstwo i t. p.

Jeżeli teorya dobrze zrozumiana trafi na grunt dobry, to autor sądzi że: ze względu na smutną konieczność zależności czynów ludzkich od warunków zewnętrznej i wewnętrznej natury, musi ona wytworzyć wyrozumiałość względem bliźnich i pokorę w sądzie o sobie samym; niemniej hart cnoty u prawdziwie moralnych ludzi, i wiarą w możność poprawy u mniej zepsutych.

Nadto teorya ta, wznawiając zaufanie do ludzi wogóle, wpływa na więcej realną ocenę własnych sił, przez wzmocnienie wiary człowieka w siebie, w granicach tej oceny.

Stawiąc czyny człowieka w nieubłaganej zależności od jego moralnego i umysłowego rozwinięcia, służy dłań zachętą do pracowania nad sobą, w celu możliwego doskonalenia siebie. Przy teóryi wolnej woli *można* jeszcze liczyć na jej moc; przy teoryi niedopuszczającej wolności, *może* znika, a zostaje przekonanie, że co posiejesz to zbierzesz.

Cóż jednak przedsiębrać, żeby teorya nasza nie trafiła na grunt nie zepsuty? Społeczeństwo powinno dbać o oświatę umysłową swych członków, powinno uczyć ich dobra, prawdy i pracy, i to na przykładach, ponieważ uczucie moralne, jak i estetyczne, wymaga nauki, opartej na widocznych danych.

F.

OJCIEC TANIEGO PORTA.

Tania opłata od listów (*porto*) i łatwość komunikacyi listowej są to rzeczy dla teraźniejszego pokolenia tak już zwyczajne, że mało kto nawet wie, jak niedawno dopiero dobroczynne te urządzenia istnieją. W naszych czasach podejmujemy ulepszenia na tem polu, nie myśląc nawet o tem, jakie to ciężkie walki z głupotą, chciwością lub indyferentyzmem ludzkim staczać musieli ci, którym pierwsze zawdzięczamy podstawy reformy. A przecież zaledwie rok minął, jak do grobów panteonu Anglii w Westminsterskiem opactwie spuszczono zwłoki człowieka, który w właściwem znaczeniu tego słowa był ojcem taniej opłaty od listów. Sir Rowland Hill był

---

mienie łamały się w pryzmatach barwami tęczy i zmuszały do mrużenia powiek, wydawał mu się podobny do słońca; przecierał oczy zalzawione jego blaskiem, i znowu otwierał je zaciekawiony. Wszystko tu dla niego było dziwowiskiem niepojętem, wszystko było tak różne od rzeczy, do których nawykł, iż przejmowało go nieujętem uczuciem, w którem strach mieszał się z zachwytem. Było tu mnóstwo przedmiotów, o jakich nie miał wyobrażenia. Trójkątny kodeks praw Piotra Wielkiego, nad którymi rozsiadł się orzeł złocisty dwugłowy, pulpit zielony aksamitny, na którym rozkładano księgę ewangelii w razie przysięgi, nawet wielki bronzowy kałamarz przed sekretarzem sądu, wszystko to były rzeczy, których nigdy oczy jego nie widziały, których użytku i znaczenia zrozumieć było mu niepodobna. Krzyż tylko nie był dla niego nowością i ujrzawszy go, przeżegnał się znowu.

Obecni myśleli, że się modli po cichu w tej ważnej chwili, a zresztą niewiele zwracali na niego uwagi. Był to podsądny, jak każdy inny, zwyczajny złodziej podszyty zabójcą, rodzaj, z którym w ostatnich czasach spotykali się niezmiernie często. A zresztą, co ich tam obchodziły jego uczucia i myśli! Sędziowie siedzieli na swoich krzesłach i przez pół słuchali kwiecistej mowy prokuratora a przez pół myśleli o własnych sprawach. Prezydujący pamiętał o partyi wista, czekającej go u jednego z kolegów, jeden z sędziów miał chorą żonę, do której się spieszył, drugi znów wieczór, na którym być miała pewna ładna i poważna panienka, obchodząca go szczególniej i na ten wieczór rad był przyjść jak najwcześniej, z powodu współzawodnika młodego doktora; bo doktór mógł pozbyć się pacyentów łatwiej, aniżeli on tego utrapionego sądu; a kto wie, co sprawić może w pewnych natężonych okolicznościach godzina zwłoki.

Woźni stali przy drzwiach, zbierając dziesiątki od kogo się dało. Publiczność zajętą była świetnym adwokatem, i tysiącem innych rzeczy, adwokat swoją obroną, któż więc miał czas pomyśleć o podsądnym, współczuć z nim, lub troskać się o jego wrażenia?

Kiedy od matrwych przedmiotów dziki Tomek zwrócił się ku sali i spojrzał na tę ruchomą falę strojnych głów kobiecych, pomiędzy któremi przebiłała gdzie nie gdzie ciemna męzka głowa, miał ochotę przeżegnać się znowu. Takich kobiet on nie widział nigdy. Czasem prawda w Malińcach bywały w kościele okoliczne panie, ale one nic a nic nie były podobne do tych, które siedziały tutaj. Raz tylko w lesie państwo sprawiali sobie majówkę a wieczorem tańczyli pod sklepieniem starych buków i jodeł przy świetle lamp kolorowych zawieszonych u ich gałęzi.

Jędras był wówczas wyrostkiem. Ukryty w gęstwinie przypatrywał się szeroko rozwartemi oczami tym postaciom, tak niepodobnym do tych, które widywał a które lekko i wdzięcznie przesuwały się w jasnych sukniach w śród otwietlonej polanki. Patrzał i dziwił się. Nieraz powracały one do niego we snach a nawet długi czas dość mu było zamknąć oczy, ażeby widzieć znowu śliczne twarze, smukłe kibicie i jasne suknie, słyszeć dźwięczne głosy, perłowe śmiechy, uderzenia nóżek o ziemię i rytmiczne falowanie szat w tańcu.

Był to obraz wyryty wyraźnie w jego mózgu, obraz, z którego zapewne nie umiał by zdać sprawy, ani nawet opowiedzieć dokładnie, ale który teraz, wobec tej publiczności oblanej potokami światła, powrócił mu nagle do myśli i zarysował się w oczach na kształt kliszy fotograficznej, uwydatniającej się pod wpływem właściwej reakcyi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Walerya Marrené.

człowiekiem, któremu nietylko Anglia, lecz cały świat cywilizowany winien wielką wdzięczność. Tania opłata od listów, której plan on pierwszy wypracował i w życie wprowadził, sprowadziła na świat niezliczone błogosławieństwa; ułatwiła i wzmocniła zarazem związki między oddalonymi a ich ojczyzną lub domem rodzinnym, a może nie przesadzimy, utrzymując, że od czasu wynalazku druku, żadne inne ulepszenie nie oddziałało tak korzystnie na społeczeństwo ludzkie pod względem moralnym i duchowym. Dla tego sądzimy, że nieobojętną będzie dla czytelników *Prawdy* krótka wiadomość o „Ojcu taniego porta,“ poczerpnięta ze świeżo wydanej przez Rowlanda Hilla książki, p. t. *Life of Sir Rowland Hill and History of Penny Postage by G. B. Hill. 2 vols. London. Delarne et Co.* Sam Rowland Hill napisał, w celu późniejszej publikacyi, historyę taniego porta (*Penny-Porto*), która jest poniekąd jego autobiografią i teraz poraz pierwszy wyszła na widok publiczny. Synowiec wypełnił biograficzne braki książki i tak złożyło się dziełko dwutomowe, dające dokładny obraz życia człowieka, który ożywiony swoją ideą, walczył wytrwale i nie ustąpił, aż ostatecznie cel zamierzony osiągnął.

Rowland Hill przyszedł na świat w miejscowości Kidderminster, jako syn ubogiego człowieka, którego wielu przodków już odznaczało się wolnomyślnemi dążeniami pod względem społecznym, politycznym i religijnym. W siódmym roku życia, ojciec Rowlanda wyprowadził się do Birmingham, gdzie otworzył szkołę, w której syn się kształcił. Właściwem jednak wykształceniem była dlań nie tyle szkoła, ile obcowanie z ojcem. Mając lat 14, Rowland wystąpił już jako pomocniczy nauczyciel przy ojcu a w kilka lat później wspólnie z bratem, Mathiasem Hill, objął na własną rękę kierownictwo zakładu. Była to szkoła urządzona w oryginalny sposób, podług własnego planu Hillów, którzy wydali też dziełko, opisujące ich systemat wychowania, uwieńczony bardzo dobrymi rezultatami w praktyce. Plan ten zasadza się na tem, że w szkole wszystko oparte było na ustawach, których wykonywanie spoczywało w rękach konstytucyjnego, z uczniów wybranego rządu. Nawet prawo karne wykonywane było przez powagę reprezentacyi. Szkoła Rowlanda była małem społeczeństwem, którego członkowie zawczasu uczyć się mieli samorządu, tej umiejętności, w której anglicy przed innymi narodami celują. Okoliczność ta zwróciła na zakład Hillów uwagę ludzi, jak Benthama, James Milla, Broughama i innych, którzy go nakłonili do przeniesienia szkoły w pobliże Londynu, gdzie dotychczas na przedmieściu Tottenham istnieje pod kierunkiem następców Rowlanda. Charakterystycznym jest to rysem Hillów, że w rodzinie tej jak w szkole praktykuje się system konstytucyjny, na czele którego stoi rada familijna.

W pobliżu stolicy Rowland Hill pracował równie gorliwie jak w Birmingham, poświęcając się także wynalazkom mechanicznym, do których od dzieciństwa posiadał wielkie uzdolnienie. Między wielu innymi wynalazł prasę cylindrową, służącą do nieustającego druku, do której po dziś dzień bardzo zbliżone są wszystkie maszyny drukarskie, używane do druku gazet.

Obciążony pracą około szkoły, Hill nie mógł dostatecznie rozwijać działalności po za codziennemi czynnościami. Przypadek dopiero przyszedł mu w pomoc. Wybrany na sekretarza angielskiego wydziału kolonizacyjnego, pozyskał stanowisko, dające mu więcej wolnego czasu. Było to w r. 1833. W cztery lata później wystąpił ze swoim świetnym projektem reformy urządzeń pocztowych, z którym się nosił oddawna. Jak potrzebną i zbawienną była ta reforma, dowodzić zbytecznie. Najniższa opłata od listu z Londynu do Birmingham wynosiła 9 pensów; najmniejszy załącznik już podwajał porto, dwa załączniki potrajały je, jeśli nawet sam list nie ważył więcej nad $^1/_4$ uncyi. Ponieważ zaś listy nie bywały frankowane, t. j. opłacone przez wysyłającego, lecz przez odbierającego, z każdym więc listem do domu przybywał nie dla każdego obojętny wydatek, na który pokrycie listonosz czekał pod drzwiami, dopóki pieniędzy nie otrzymał. Dla niezamożnych też odwiedziny te bywały często wcale nieprzyjemne. Naturalnym skutkiem takiego systemu opłaty było to, że każdy szukał sposobności obejścia się bez poczty. Jako prawdziwy wolnohandlowiec, postanowił Rowland Hill zaradzić temu niedogodnemu stanowi rzeczy wedle zasady, że zniżenie ceny poszukiwanego towaru zazwyczaj nie zmniejsza ogólnej za niego osiągniętej sumy, ponieważ wzrost zapotrzebowania wyrównywa ubytek ceny. Gruntowne zbadanie wydatków w administracyi pocztowej potwierdziło zdanie Hilla, że porto nawet ze stanowiska finansowego jest za wysokie. Ważniejszym jednak niż straty skarbu państwa był dla reformatora ten wzgląd, że na utrudnieniach pocztowych cierpiały interesy publiczności, której moralny i intelektualny postęp doznawał w nich zawady, i że poczta urządzona na racyonalnych podstawach zająć powinna ważne stanowisko aparatu obiegowego. W początkach roku 1837 ogłosił Rowland Hill swoją pierwszą broszurę p. t. *Reforma administracyi pocztowej*. Dowodził w niej przedewszystkiem, że w istniejącym systemie muszą być wady kardynalne, skoro mimo wzrostu ludności, dobrobytu, działalności handlowej i ogólnego wykształcenia, czysty dochód z poczt wynosił w r. 1825 mniej niż w r. 1815. Ulepszenia proponowane przez Hilla zasadzały się na szybszem przesyłaniu listów, ułatwieniu ich wysyłki i uproszczeniu rozmaitych urządzeń. Najważniejszą jednak reformą było ustanowienie niskiej opłaty listowej (1 penny od listu bez względu na odległość w granicach królestwa). Przepowiedział on, że jego reforma nietylko publiczności wyjdzie na dobre, ale nadto skarbowi przyniesie więcej niż milion f. szt. czystego zysku. Obliczenie to sprawdziło się obficie. Zwyczajem Hillów, projekt Rowlanda był przedewszystkiem przedstawiony radzie familijnej, zanim się ukazał na widok publiczny. Świat handlowy odrazu poznał jego wartość, ale potrzeba było dopiero silnego nacisku opinii publicznej, zanim się rząd na wypróbowanie reformy zdecydował. Szlachetni lordowie nazywali projekt Hilla ekonomicznym nonsensem, który krajowi przynieśćby musiał straty. Nakoniec po długim oporze wniesiono prawo oparte na planie Hilla. Prawo przeszło w obydwóch Izbach parlamentu i uzyskało sankcyę królewską. Dzień 10 stycznia 1840 r., w którym pensową opłatę od listów (penny porto) wprowadzono w życie, obchodzony był długo jako pamiątkowa data w rodzinie i wśród przyjaciół Hilla. W trzy lata zatem po wyjściu w świat broszury reforma weszła w życie. Założyciel nowego systematu otrzymał dotacyę roczną 1500 f. szt., aby kierować mógł przeprowadzeniem swoich planów. Początek sprowadził łatwe do pojęcia wzburzenie, ale świetne rezultaty przeszły nawet oczekiwania samego Rowlanda. Walcząc z jednej strony z zacofaniem, z drugiej otrzymywał zachęcające objawy uznania; zanim jednak dzieło swoje przeprowadził w całości, toryси przyszli do władzy i Hill został oddalony. Taniego porta znieść już nie mogli, ale usunęli jego sprawcę.

Dopiero w r. 1846, gdy stronnictwo liberalne powróciło do władzy, i Rowland Hill objął ponownie swój urząd. I teraz jednak musiał walczyć z trudnościami, które dopiero po dłuższym czasie udało mu się ostatecznie pokonać. W roku 1860 otrzymał tytuł barona a w cztery lata później cofnął się z urzędowego stanowiska, nagrodzony narodową dotacyą w sumie 20.000 f. szt.

S. S.

POGADANKI NAUKOWE.

O gramatyce porównawczej języków indoeuropejskich.

II.

Według rozpowszechnionego mniemania, *glottologia* (lingwistyka, językoznawstwo) *bywa mięszana z filologią*. Dla usunięcia tej niedokładności w poglądzie na naszę naukę, pozwolę sobie powiedzieć tu kilka słów o wzajemnym stosunku językoznawstwa i filologii. Przy tem uważam za potrzebne zauważyć, że, mówiąc o stosunkach pojedyńczych nauk, można uwzględniać tylko rzeczywiście istniejące osobne nauki, jako ćwiczenia umysłu ludzkiego nad sumą jednorodnych, oraz ściśle między sobą połączonych faktów i pojęć, przekazywanych z pokoleń na pokolenia. Jak nauki powinnyby się dzielić „według swojej idei,“ kwestya ta wcale nas tu nie obchodzi. Można sobie z zamkniętemi oczyma budować wspaniałe systematy, rozdzielając nauki na dywizye z wypisanemi na ich chorągwiach godłami: „Bóg,“ „przyroda“, „człowiek,“ a następnie na pułki, którym za podstawę służą różne kategorye logiczne w rodzaju „przestrzeni,“ „czasu,“ „ilości,“ i t. d., ale wszystko to nie zmieni rzeczywistych związków między istniejącemi naukami.

Tak więc: *filologia klasyczna* jest badaniem życia duchowego obu tak zwanych narodów „klasycznych,“ greckiego i rzymskiego, we wszystkich objawach tego życia duchowego. Tak samo zupełnie *filologia germańska* w stosunku do narodów i ludów germańskich, *słowiańska* w stosunku do narodów i ludów słowiańskich, i t. d.

Zdanie, że może istnieć filologia tylko cywilizowanych narodów, należy uważać za przesąd naukowy, oparty na arystokratyzmie naukowym, według którego tylko „bene natus et possessionatus“ ma prawo do uwzględnienia przez naukę. Prawdą jest, że rzeczywiście dotychczas rozwijały się i kwitnęły tylko filologie narodów tak zwanych „historycznych“ czyli „kulturnych.“ Ale w najnowszych czasach powstała dążność, wspólna zresztą wszystkim naukom, ażeby nie ograniczać się samymi tylko arystokratami, ale zwracać uwagę na wszystkich bez wyjątku ludzi. Kto bada „barbarzyńców“ czyli „narody pierwotne“ pod każdym względem, t. j. pod względem języka, literatury *ustnej*, wierzeń, podań, zwyczajów, kultury i t. d., ten jest także filologiem, chociaż się tak nie tytułuje.

Tak więc, *filologia ogólna* jest, według idei, badaniem życia duchowego wszystkich bez wyjątku ludów. Rozumie się samo przez się, że jeszcze nie znalazł się człowiek, który, — wyrażając się filozoficznie, — mógłby urzeczywistnić w swojej osobie choćby tylko w przybliżeniu ideę podobnej filologii ogólnej. Zadanie zbadania wszystkich stron życia duchowego choćby tylko jednego ludu lub, co najwięcej, jednej grupy ludów — jest tak wielkie, że może wystarczyć choćby na całe życie pojedyńczego człowieka. Dla tego też znamy filologów klasycznych, zajmujących się studyowaniem życia duchowego rzymian i greków, następnie filologów germańskich, słowiańskich, indyjskich, arabskich i t. d., ale o filologach choćby tylko „indoeuropejskich“ nie słyszeliśmy dotychczas i prawdopodobnie nigdy nie usłyszymy. Prawda, że także ani jeden człowiek nie był i nie będzie w stanie „urzeczywistnić“ w sobie

idei językoznawstwa ogólnego, jako znajomości naukowej wszystkich języków i wszystkich rezultatów badań pojedyńczych w zakresie wszystkich znanych dotychczas języków. Ale,ześrodkowując się na jednej tylko stronie objawów życia duchowego ludzkości, t. j. na języku, można daleko więcej rozszerzyć zakres swych badań i zajmować się korzystnie nietylko jednym szczepem językowym, w rodzaju języków „indoeuropejskich,“ ale nawet kilkoma podobnymi szczepami, a następnie, na podstawie wnioskowania analogicznego o wspólnych właściwościach wszystkich języków, rozwinąć w sobie mniej więcej prawdziwe pojęcie o języku ludzkim wogóle.

Tak więc stosunek filologii i lingwistyki można wyrazić w następujący sposób. Dla filologa ogniskiem, około którego grupują się wszystkie jego zajęcia, są jedni i ci sami przedstawiciele wszystkich przejawów życia duchowego, jako to: języka, wierzeń, podań, literatury, kultury i t. d., czyli, innemi słowy, jedne i te same narody i ludy; badania zaś lingwisty wiąże w jednę całość jednorodność tej strony przejawów życia duchowego różnych ludów, która nazywa się językiem.

Zresztą wszystko to ma miejsce tylko w oderwaniu. W rzeczywistości zaś możliwym jest połączenie w jednej osobie samodzielnych zajęć w zakresie np. filologii klasycznej albo słowiańskiej z czysto lingwistycznemi badaniami w zakresie np. języków „indoeuropejskich.“

Widzieć, wraz z niektórymi uczonymi, różnicę filologii i lingwistyki w tem, że pierwsza jest nauką historyczną, druga zaś — przyrodniczą, i następnie stawiać te dwie nauki w jakieś antagonistyczne, nieprzyjazne stosunki, niema, według mnie, dostatecznej podstawy, oprócz osobistych gustów, przesądów i dowolnego tłomaczenia przez pojedyńczych uczonych przypuszczalnych zadań jednej i drugiej nauki. Niektórzy lingwiści patrzą na ten przedmiot cokolwiek jednostronnie i uważają swoję naukę za przyrodniczą w tem właśnie znaczeniu, jak geologia albo też biologia (przedstawiająca połączenie zoologii i botaniki), t.j. nietylko z metody, ale także z samego przedmiotu badania: językoznawstwo bada jakoby żywe „organizmy,“ języki, a więc pod tym względem nie różni się jakoby wcale od innych nauk przyrodniczych, zajmujących się badaniem żywych ustrojów. Mnie zaś kwestya należenia językoznawstwa do nauk przyrodniczych przedstawia się w następujący sposób: Metoda, którą posiłkuje się lingwistyka prawdziwie *naukowa*, jest taką samą, jak metoda przyrodników; jestto metoda ścisła, indukcyjna, — a więc z tego stanowiska językoznawstwo jest nauką przyrodniczą. Jeśli zaś zwrócić uwagę na naturę przedmiotu badanego, t. j. na naturę języka, jako objawu przeważnie nieświadomej działalności psychicznej człowieka, w takim razie wypadnie zaliczyć językoznawstwo do nauk historyczno-psychicznych, czyli „socyologicznych.“ Ale zresztą będzie ono musiało występować w obu oddziałach nauk tylko w takim razie, jeżeli wogóle przyjmiemy podobny dualistyczny podział nauk. Jeżeli zaś wyrzeczemy się tego tradycyjnego dualizmu, to pytanie, dokąd zaliczyć językoznawstwo, okaże się zupełnie zbytecznem; ponieważ 1-ód w takim razie wszystkie *prawdziwe* nauki czyli umiejętności będą przyrodniczemi, zajmują się bowiem badaniem przyrody w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu, i, jeżeli roszczą sobie pretensyę do prawdziwej *naukowości*, powinny trzymać się metody indukcyjnej, a następnie dedukcyjnej; 2-re zaś pojedyńcze nauki stanowią tylko części jednej ogólnej wiedzy: one nie są niczem innem, jak tylko zadaniami, wziętemi na siebie przez pojedyńcze grupy pracowników, których ostatecznym celem jest — poznanie rzeczywistości we wszystkich jej objawach. Zadanie wszystkich nauk polega na oczyszczaniu przedmiotu badania od wszelkiej „przypadkowości“ i samowoli i na wyszukiwaniu „prawidłowości“ i „prawności.“ Z tego stanowiska wszystkie nauki, zajmujące się zestawianiem i uogólnianiem szczegółów, będą przyrodniczemi, jeżeli stawiają na pierwszym planie ukrytą w zjawiskach harmonię i prawidłowość; zatrzymując się zaś jedynie tylko na przypadkowościach i szczegółach, są — naukami „historycznemi“ (w tem znaczeniu, jak ten epitet dodaje się do przezwiska tak zwanej „historyi powszechnej“). Przy takim poglądzie na rzeczy po za naukami przyrodniczemi i matematyką niema miejsca dla żadnej *istotnej* nauki. Wtedy i filologia, i historya, i ekonomia polityczna i t. d., o ile są naukami, powinny być koniecznie przyrodniczemi. Filologia albo też historya, wyrzekające się ściśle indukcyjnej metody nauk przyrodniczych i unikające uogólnień naukowych w tem znaczeniu, jak one bywają dokonywane w naukach przyrodniczych, mogą być zbiorem bardzo interesujących wiadomości i plotek uniwersalno-historycznych, i wogóle czem się komu spodoba, ale nigdy nauką czyli umiejętnością.

Ponieważ język przedstawia badaniu tylko dwie strony: 1) akustyczno-fizyologiczną i 2) psychiczną, — to możnaby zapytać: czy mamy wogóle zasadę do tworzenia osobnej nauki językoznawstwa, czy nie jest to nauka zbyteczna, będąca tylko przypadkowem połączeniem albo zlepkiem trzech nauk, akustyki z fizyologią i psychologii? W odpowiedzi na to pytanie można by przedewszystkim wskazać na fakt, że *językoznawstwo, jako osobna nauka istnieje*, że ma ono i swoję własną literaturę, i swoich własnych specyalistów Prócz tego w językoznawstwie są rzeczywiście kwestye wyłącznie glottologiczne czyli lingwistyczne, t. j. kwestye, których nigdy nie dotykają się ani fizyolog, ani psycholog. Tak np., chociaż „siły,“ działające w języku, jako to *przyzwyczajenie*, *dążenie do wygody*, *nieświadome zapomnienie i niepojmowanie*, *nieświadome uogólnienie* czyli *apercepcya*, *nieświadoma abstrakcya* i t. p., należą całkowicie do rzędu sił psychicznych, to jednakże sposób ich objawiania się w języku jest zupełnie odrębny i taki mianowicie, że może być zrozumiałym tylko dla tego, kto poświęcił się specyalnie badaniu języka. W części akustyczno-fizyologicznej językoznawstwo korzysta tylko z rezultatów akustyki i fizyologii, ale pomimo to łączy je w sposób, zupełnie obcy tym dwu naukom. To połączenie rezultatów akustyki i fizyologii dla potrzeb lingwistów dało początek osobnej nauce, *fizyologii dźwięków* czyli *antropofonice*, jako *części językoznawstwa*. Podobnie ta okoliczność, że fizyologia zajmuje się tylko badaniem procesów fizycznych i chemicznych w żywym organizmie, nie znosi jeszcze tej nauki (fizyologii) i nie sprowadza jej na stopień jakiegoś przypadkowego konglomeratu z kwestyj, należących właściwie do chemii i fizyki.

Tylko ta nauka może być nazwana prawdziwą, która na każdym kroku zachowuje w swoich wywodach jak najściślejszą i jak najskrupulatniejszą dokładność i nie puszcza się na żadne fantazye. Każdy człowiek *naukowy*, a w tej liczbie i badacz języka, powinien przejąć się przekonaniem, że nie ma ani jednego zjawiska bez przyczyny, zjawiska, niezawarunkowego koniecznością, bez względu na to, czy znaną nam jest ta przyczyna, czy też nieznaną; czy zrozumiałą jest dla nas w danym razie ta konieczność, czy też, przeciwnie, niezrozumiałą. Wszystko w przyrodzie, a więc i w języku, „ma swoję przyczynę,“ wszystko jest „naturalne,“ „prawne,“ „racyonalne.“ W języku niema żadnej samowoli. Pogląd ten nie jest wcale muzułmańskim fatalizmem, głoszącym: „rób, co chcesz, uciekaj się do jakich ci się tylko podoba wybiegów, a jednakże fatum twoje każe ci nawet u bieguna umrzeć od gorąca, a na równiku od zimna.“ Wcale nie, — tutaj mamy tylko ciągłe kojarzenie się okoliczności, przy jednakowych warunkach dające zawsze ten sam rezultat.

Jeżeli znajdujące się w naszych rękach środki naukowe nie pozwalają nam wydobyć ściśle określonej odpowiedzi na każde z zajmujących nas pytań, to nie powinno to nas wcale kłopotać. Przecież nawet najściślejsza i najbardziej skończona ze wszystkich nauka, nauka oparta na niewzruszonych pewnikach, jedyna całkiem dedukcyjna nie na wszystkie pytania daje zupełnie określone odpowiedzi. Przecież pierwiastek kwadratowy z jakiejkolwiek bądź ilości przedstawia się nie w jednej, ale w dwu postaciach. Przecież operując ilościami nieskończenie małemi i nieskończenie wielkiemi, i zachowując w swoich działaniach ścisłość matematyczną bez najmniejszego zarzutu, możemy jednakże dowieść, że wszystkie liczby i wszystkie wogóle ilości określone są równe sobie. Przecież 1=09999..... Przecież to w matematyce są np. choćby tylko równania pierwszego stopnia z dwiema niewiadomemi, dla których otrzymujemy właściwie nieskończoną liczbę odpowiedzi, i tylko ograniczając odpowiedzi do liczb całkowitych, ograniczamy zarazem liczbę odpowiedzi, i t. d. A cóż dopiero mówić o wyższej matematyce, mającej ciągle do czynienia z ilościami nieskończonemi. I językoznawstwo ma swoje równania stopnia pierwszego z dwiema i nawet więcej niewiadomemi. I w językoznawstwie nawet w określonych wypadkach na jedno i to samo pytanie mogą być po dwie, po trzy i więcej odpowiedzi. Ale pomimo to jesteśmy mocno przekonani, że ta nieokreśloność odpowiedzi jest tylko skutkiem niedostatecznej znajomości warunków szczególnych.

Odpowiedniość i użyteczność badań lingwisty zależy, między innemi, od ścisłego zachowywania warunków geografii i chronologii. To znaczy, że każdy fakt języka należy rozpatrywać we właściwem mu otoczeniu przestrzeni i czasu. Objaśniać zjawiska pewnego języka w pewnym okresie jego rozwoju prawami innych okresów i innych języków — jestto nie posiadać wcale poczucia rzeczywistości, jestto wystawiać sobie stanowcze świadectwo całkowitej niewypłacalności naukowej. A więc w żaden sposób nie podobna objaśniać zjawisk np. języka polskiego lub rosyjskiego „prawami,“ właściwemi językowi łacińskiemu. Przecież byłoby to prawie to samo, jak gdyby kto zaczął twierdzić poważnie, że na ciele jakiego niemca lub francuza pozostały ślady ukarania bambusem jakiegokolwiek dygnitarza japońskiego lub chińskiego.

Jako dążenie naukowe, językoznawstwo ma na celu zbadanie wszystkich języków kuli ziemskiej. Ale, niestety, języków liczą jedni kilka tysięcy, inni zaś kilka set (o dokładności nie może tu być nawet mowy); w każdym razie tyle, że nawet z setną ich częścią nie jest w stanie zaznajomić się gruntownie człowiek jaknajzdolniejszy i mający możność poświęcenia całego swojego czasu podobnym zajęciom. Tym sposobem w praktyce językoznawstwo okazuje się daleko skromniejszem, aniżeli w czysto oderwanych definicyach. Koniecznym tu jest podział pracy, specyalizacya; zgodnie z nią pojedyńczy uczeniześrodkowują swoją uwagę tylko na pewnych grupach języków, chociaż obok tego wszystkiego powinni wybraną przez siebie cząstkę całego bogactwa językowego rozpatrywać ze stanowiska ogólnego. Wtedy ich specyalność zachowa żywotność i interes ogólny.

Bardziej, niż inne grupy językowe, zbadano dotychczas grupy, należące do plemion i narodów, które zdobyły sobie w historyi znaczenie uniwersalne, t. j. *semicką*

i *indoeuropejską*. Przedewszystkiem zaś badanie tej ostatniej grupy bardzo jest nauczającem, ponieważ na niej wypracowano i rozwinięto tę ścisłą metodę, z której teraz tak sprawiedliwie może być dumnem językoznawstwo.

Studyowanie wyłączne języków indoeuropejskich może być zastosowaniem jedynie językoznawstwa pozytywnego do tych języków, t. j. zastosowaniem do nich, z jednej strony gramatyki, z drugiej zaś systematyki czyli klasyfikacyi, i to nawet nie całej, ale tylko klasyfikacyi genetycznej czyli naturalnej języków pokrewnych.

Zastosowanie gramatycznej części językoznawstwa do języków indoeuropejskich stanowi właśnie *gramatykę porównawczą języków indoeuropejskich*, czyli po prostu *gramatykę języków indoeuropejskich*.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

J. Baudouin de Courtenay.

Historya Polski.

Dzieła Juliana Bartoszewicza, tom VII, VIII i IX. *Szkice z czasów saskich*, wydanie pierwsze, Kraków 1880 r. 8-a str. 395. *Studya historyczne i literackie*. Kraków, 1880—81 r. 8-a tom I, str. 404, tom II, str. 399.

Po dziejach literatury i po czterotomowej *historyi pierwotnej Polski*, o której w swoim czasie zdawaliśmy relacyę w *Nowinach* (z r. 1879, N. N. 229, 235 i 6, 284, 326 i 7), ogłoszono obecnie część prac Bartoszewicza pomniejszych — szkice i studya. W *szkicach z czasów saskich* najróżnorodniejsze czytamy rzeczy. *Kropińscy*—dziad i ojciec autora Ludgardy — ilustrują życie sejmikowe w województwie brzesko-litewskiem: obrazek ciekawy, lecz przez ogłoszenie pamiętników Matuszewicza, z rękopismu którego Bartoszewicz czerpał materyał, wartość swoją utracił. *Wielkich muszkieterów Augusta II.* oraz *kampement w Warszawie 1732 r.* oparł autor przeważnie na wiadomościach współczesnych gazet. Opowieść o pierwszych dla braku materyału nakreślił pobieżnie, gdy o kampemencie drobiazgowy według Kuryera Polskiego ułożył dyaryusz. *Sprawa Karwickiego* (z czasów Augusta III) o wieś Rokitno ciekawy przedstawia objaw, jak z małych rzeczy wielkie nad państwem srożą się burze; jak prywata, przybrawszy barwę publiczną, przodowników narodu (Czartoryskich z marszałkiem nadw. Mniszchem) doprowadza do scysyi i interesa ogólne przyprawia o szkodę. *Pan Bystry*, przeniesiony z pamiętników Matuszewicza, może być dzisiaj poznany ze źródła, z którego i do *dziejów niewiasty polskiej* (Heleny z Potockich Morsztynowej) niemało autor wiadomości zaczerpnął. Pani Helena wbrew Matuszewiczowi była, według Bartoszewicza, wnuczką śpiewaka wojny chocimskiej; czterech przeżyła mężów (Bełchacki, Rybiński, Dunin i wojewoda inflancki Morsztyn); córkę jedną wydała za owego Radziwiłła, który to, uczyniwszy się żydem, do dóbr swoich Czarnawczyc zapraszał współwyznawców na łokszyn, szczupaki i kugiel; drugą — za Stanisława Czartoryskiego, Kalwaryi zebrzydowskiej dziedzica. Jej to pasierbica była Barbara z Duninów Sanguszkowa, której synów Cezar Phyrrys de Varille, Konarskiego wielbiciel, kierował na ludzi. Treść *dziejów niewiasty polskiej* z tytułem w zgodzie jest małej: więcej mówi o mężach, niż o pani Helenie, która zresztą nie jest sama przez się nader ciekawą i nie dorównywa współczesnej sobie takiej Teresie z Roztworowskich Załuskiej, literatce i niepospolitej jurystce. *Koronacye obrazów świętych* do charakterystyki religijnego nastroju w pierwsze połowie XVIII w. materyałem są świetnym i wartość mają poważną, gdy *Ignacy Bohusz*, radziwiłłowski minister, późniejszy sekretarz barskiej generalicyi, jako wykrojony z pamiętników Matuszewicza, świeżość swą stracił. Szkice p. t. *Karol XII w Warszawie w 1702 r.* i *Warszawa w końcu r. 1702* wraz z *Warszawą w r. 1705* (bitwa ze szwedami i przygotowania do koronacyi Stanisława) stanowią ułamki z historyi stolicy, o której, według objaśnienia wydawcy, miał autor zamiar napisać książkę i zbladły dzisiaj w obec dzieła Jarochowskiego (*Dzieje panowania Augusta II.* Poznań, 1874), który te same sprawy przedstawił. *Ksiądz Wincenty Santini nuncyusz w Polsce* (1722—1728) „mieszał się w nieswoje rzeczy, do władzy i rządów swoich pociągał świeckich, wglądał w prawa królewskie patronatu i opactw, jakby chciał wszystko objąć pod siebie;“ — ciekawy to przyczynek do historyi stosunków Polski z papiestwem. Bartoszewicz pierwszy wydobył na jaw ukryty w rękopiśmie *systemat Karwickiego reformy rzeczypospolitej w r. 1706* (zamiast w r. 1709) i obszerną o nim w *Przeglądzie polskim* (z r. 1869) napisał relacyę. Dzisiaj, gdy mamy ogłoszony przez Krzyżanowskiego tekst owego projektu (*De ordinanda republica, Cracoviae*, 1871) i krytyczne nad nim uwagi (*Rembowskiego St. Leszczyński jako statysta*), zatytułowana wyżej robota na wartości straciła dużo. Przy kreśleniu szkiców z epoki saskiej w rękopiśmiennych pamiętnikach Matuszewicza znalazł Bartoszewicz kopalnię bogatą; dla czego tak ważnego źródła nie wydał, lecz tylko czerpał z niego, często wyłącznie?

W pierwszym tomie *studyów* znajdujemy gruntowną rozprawkę o *Helenie Iwanównie, żonie Aleksandra Jagiellończyka*; streszczenie *starego poematu* (właściwie panegiryka) *o Gdańsku* (z r. 1630); ciekawy przyczynek do dziejów Braci Czeskich w Polsce o podlegającej hallucynacyi *Krystynie Poniatowskiej*, ogłoszonej (za czasów Zygmunta III) za prorokinię i wróżkę; *o nuncyuszach w Polsce* robotę pobieżną; małego również znaczenia, bo wyłącznie prawie na *Voluminach legum* opartą wiadomość *o dochodach króla St. Augusta*. Bezpretensyonalną jest notatka *o przedrukowaniu Voluminum legum 1732 r.*, gdy *nowe wydanie* (w Kopenhadze w r. 1855) *sag skandynawskich* podaje autorowi pochop do uwag nad sprawami Polski pierwotnej, a ogłoszone przez Iwaniszewa w Kijowie akta do nakreślenia ciekawego szkicu o wygnanym przez cara Iwana Groźnego *kniaziu Kurbskim*, który na Wołyniu miał dobra, tamże resztki życia przepędził i umarł (1583 r.). *Sumy neapolitańskie* straciły wartość wobec świeżo ogłoszonej pracy p. Klemensa Kanteckiego; *Kronika pałacu Krasińskich w Warszawie*, jako przyczynek do dziejów stolicy, ciekawość obudza znaczną; nie bez wartości jest również *podróż Regnarda po Polsce* (w r. 1681), drugą od Gdańska do Jaworowa na Ruś i do starego Krakowa. Sprawozdanie z broszury Jastrzębskiego *o biblii rejmskiej* i notatka p. t. *Mikołaj Jemiołowski jako historyk* kończy studyów tom pierwszy, zawierający rzeczy treści przeróżnej i wartości nierównej.

Tom drugi studyów rozpoczyna *elekcya Mikołaja Korybuta*, robota bardzo pobieżna, daleka od wyczerpania materyału, wskazanego przez Celichowskiego w rozprawie: *De fontibus, qui ad abdicationem J. Casimiri et electionem M. Wiśniowiecii pertinent* (Dresdae, 1871). *Księga kapturów rzeczyckich* (z ostatniego bezkrólewia po śmierci Augusta III) dała autorowi możność zaznaczenia kilku szczegółów, charakteryzujących polityczną ruchliwość rycerstwa i pobudziła do refleksyi nad szlachtą zagonową, w województwie mińskiem tłumnie po zaściankach siedzącą. Uważa ją Bartoszewicz za pokład odrębny, bo „była klasa wyższa i ta rzeczywiście panowała nad narodem i była klasa niższa, która nie panowała nad narodem, bo nie podrosła do pojmowania dobrze swoich szlacheckich przywilejów“ (str. 47.). Owego pokładu, zdaniem naszem, znaleźć tu trudno. Zajmował wprawdzie szlachcic zagonowy pozycyę społeczną odrębną, lecz politycznie, byleby tylko wykazał swój klejnot, równy był wszystkim. Bogactwo i wykształcenie rodziło różnice faktyczne, nie wywoływało jednak prawnych, niszczących przywilejów lub zaprowadzających w nim jakiekolwiek stopnie. *O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie* rozprawia Bartoszewicz z powodu przekładu od Horacyusza, którego rękopism był naówczas (w r. 1854) Henryka Rzewuskiego własnością. P. Pawiński we wstępie do pamiętników Matuszewicza (I str. XXIX) okazał dowodnie, że ów przekład kasztelana brzeskiego w r. 1784 drukowany był w Wilnie i dokładniej, niż Bartoszewicz, talent poetyczny Matuszewicza ocenił. Z okazyi Thierry'ego historyi Atylli powstali *Chazarowie i Połowcy*; na aktach oo. Franciszkanów prowincyi rusko-litewskiej oparł Bartoszewicz ciekawą charakterystykę *księdza Wojciecha z Konojad Dembołęckiego*, autora *Przewagi elearów polskich* i fantastycznego *Wywodu jedynowładnego państwa świata*, — osobistości, którą — niewiadomo dobrze dla jakich przyczyn — starszyzna prześladowała zacięcie i od wszelkich w zakonie usunęła urzędów. *Starania domu rakuskiego w XVI wieku dla pozyskania korony polskiej* streszcza Bartoszewicz według pracy czeskiego historyka Wacława Tomka; w artykule o *kasztelanii połanieckiej Kochanowskiego* polemizuje z Józefem Przyborowskim o szczegół z życia poety, mianowicie o sam fakt nadania mu senatorskiej godności i czas, w którym kasztelanem mógł zostać. *Poselstwo ks. Jędrzeja Załuskiego do Portugalii i Hiszpanii* (1674—1675) stanowi streszczenie pamiętników biskupa; podobnyż charakter ma *podróż bezimiennego księdza francuskiego do Polski za króla Jana Sobieskiego*, ogłoszona w Paryżu w r. 1858 w publikacyi p. t. *Bibliotheque russe et polonaise*. Obszerny artykuł o *Konstantym Świdzińskim i jego wieczystej fundacyi* nie jest ani pracą historyczną, ani literacką; wywołany został potrzebą chwili i niewłaściwie pomieszczony został przez wydawcę śród studyów. Z wielką erudycyą napisane *hetmaństwo*, będące początkiem pracy przerwanej, i *Teatyni w Warszawie* kończą studyów tom drugi.

Wiele robót, pomieszczonych w szkicach i studyach, należy do kategoryi streszczeń, sprawozdań lub dorywczych notatek, które pretensyi do wartości naukowej nie miały nigdy; niemało również jest takich, które w danej chwili prezentowały fakt nowy, dzisiaj znany dokładniej; nie dużo znajdujemy gruntownych i wartość mających trwałą. Roboty owe obznajmianie z ruchem naukowym inteligentnego ogółu i pobudzanie do lektury historycznej czytelników czasopism przeważnie miały na celu i z tego też stanowiska oceniane być muszą. Jest ich tak wiele, że same przez się o niepospolitej czynności i twórczości autora świadczą dowodnie. Wydawca pięknie uczynił, łącząc je w księgi; rozrzucone bowiem po dziennikach, tygodnikach i kalendarzach pył zapomnienia by pokrył.

Wł. Smoleński.

Z DALEKIEGO WSCHODU

wrażenia, okrazki, opisy z dobrowolnej podróży po Syberyi przez Bronisława Rejchmana, Warszawa 1881.

Rzecz na pozór dziwna, że społeczeństwo nasze, w którem chęć wędrówek jest rozwinięta tak silnie, posiada ubogą podróżni-

czą literaturę w poważniejszem tego słowa znaczeniu. Listy, luźne nonatki, kartki z podróży—Kremera, Kraszewskiego lub Deotymy, mimo swej niezwykłej literackiej i artystycznej wartości, są jednostronne. Opisują one zwykle dzieła sztuki i co najwyżej podrzędne objawy obyczajowego życia narodów a głównie, rzecz prosta, najpiękniejszy śród krajów europejskich—Italię. Ta beletrystyczna skłonność jest naturalnym wynikiem literackiego kierunku wogóle, który oddawna u nas się rozwija. Uśpiony zapał krytyczny dozwalał szlachetnie rozwiniętemu poczuciu piękne gromadzić spostrzeżenia idealnej natury. Stopniowo jednak poczęła się budzić analiza a zastanawianie nad własnem wewnętrznem życiem rozszerzyło widnokrąg myślenia i wyprowadziło je ze zbyt wązkiej dotychczasowej kolei. Wprawdzie wpływ ten, który oddziałać musiał na różne gałęzie literackiego życia, nie przyniósł dotychczas bogatych owoców literaturze podróżniczej, ale podobno ona u nas nie prędko bujnie zakwitnie, dla braku warunków zewnętrznych. Inne narody, bodaj czy nie wszystkie europejskie prócz nas, związane siecią stosunków politycznych lub handlowych z odległemi koloniami i wszystkiemi częściami świata, mają w potrzebie sposobność badania pozaeuropejskich ludów. Nadto liczne państwa europejskie, zarówno w interesie własnym jak i nieraz w interesie cywilizacyi lub nauki, wysyłają swym kosztem ekspedycye do różnych części świata, do mało lub wcale nieznanych przedtem krajów. Nic więc dziwnego, że literatura angielska, hiszpańska, włoska i inne posiadają bogate skarby opisów podróżniczych, podczas gdy nasza z przyczyn naturalnych ogranicza się do skromniejszych i jednostronniejszych turystycznych obrazków.

W ostatnich jednak czasach objawił się i u nas pewien chwalebny ruch na tem polu. Sigurd Wiśniowski opisuje Austryalyę i Amerykę, Henryk Sienkiewicz kreśli piękne obrazy z życia północnej i zachodniej Ameryki, nareszcie p. Bronisław Rejchman wydał obecnie swoje wrażenia, obrazki i opisy *Z dalekiego wschodu*, w których przedstawia nam życie Azyi północnej. Prace tego rodzaju posiadają w miarę swej ważności niezwykłą wartość umysłową a nawet i praktyczną. Obrazy życia odległych krajów, ich wewnętrznego rozwoju, obyczajów i zwyczajów, bardzo są pouczające i przynieść mogą pożytek, zwłaszcza gdy pisarz obdarzony zmysłem rozbiorczym i talentem spostrzegawczym. Najważniejszym warunkiem podobnych opisów jest wierne ilustrowanie stosunków danego narodu. Wszelkie rojenia i zmyślone dodatki u nas bardziej niż gdziekolwiek są szkodliwe, ponieważ bardzo słabe w tym kierunku posiadamy probierze. Książka podróżnicza, wydana dziś a oparta na błędnych spostrzeżeniach lub kreślona na podstawie opowiadań osób trzecich, nie zawsze wiarogodnych, nieraz na długie lata pozostawia fałszywe przekonania o danym kraju i narodzie. Ubóstwo podróżniczej naszej literatury nie dozwala porównawczo prostować błędów lub sprawdzać popełnionych niedokładności.

Tem więc przyjemniej witamy książkę p. Br. Rejchmana o Syberyi. Autor pracę swą usnuł z własnych spostrzeżeń, rzucających nam wyraźne a nieraz bardzo żywe światło na stosunki, o których niedokładne lub nawet wprost przeciwne prawdzie dotychczas mieliśmy pojęcie. Streszczać nam pracy tej niepodobna. Autor kreśli ją w postaci żwawych szkiców, sposobem fejletonowym. Sposób ten ma swoją dodatnią, lecz i ujemną stronę. Dzięki tej formie książka czyta się z niepospolitą łatwością i niepośledniem zajęciem, lecz za to tracić musi pod względem pełności i plastyki. Wszystkie szczegóły, starannie zebrane, żywo i łatwo wpadają do umysłu czytelnika, lecz z powodu pobieżnego ich traktowania i nieledwie telegramowej zwięzłości nie zdołają się utrwalić w pamięci czytającego. Z największem zamiłowaniem i dokładnością traktuje autor buryatów i chińczyków a mówiąc o nich, wznosi się do wnioskowań ogólniejszych. Po za tem całość przedstawia się jako szereg luźnych notatek, z czego zresztą nie podobna autorowi czynić poważnego zarzutu, zastrzega się on bowiem pod tym względem na jednej z kart wstępnych. Dodać tu jednak winniśmy, że rozdział ostatni p. t. *Złoto w Syberyi Wschodniej* skreślił p. R. z wielką dokładnością, przyczem potrafił przedmiot na pozór suchy ożywić tak dalece, że rozdział ten czyta się z równym jak i poprzednie zajęciem i przyjemnością. W ogóle cała ta praca zawiera wiele ciekawych szczegółów i nosi na sobie cechy podróżniczego doświadczenia, licznych naukowych wiadomości w odpowiednim kierunku, a przytem drga nadzwyczajnem życiem.

Zgliński.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Władysław Syrokomla studyum literackie przez *W. Z. Kościałkowską*, Wilno 1881.

Chcąc w literaturze zrobić coś drugi raz trzeba umieć to zrobić lepiej niż poprzednicy, inaczej bowiem autor naraża się na niebezpieczeństwo porównania.

W takiem niebezpieczeństwie znalazła się pani Kościałkowska, piszącą swoje pełne dobrych chęci studyum o Syrokomli po Spasowiczu, który świetnie się zaznaczył tą pracą na kartach literatury krytycznej, wprowadzając do niej nowei ożywcze prądy, wnosząc się po nad zwykłą miarę akademickiego idealizmu. Obok tej pracy, dokonanej z całym aparatem naukowym, studyum pani Kościałkowskiej wygląda jak skromne probowanie skrzydeł, nieprzeznaczonych do górnego krytycznego lotu. Owe studyum jest właściwie notatką luźnych wrażeń, katalogiem pochwał, zbiorem żałosnych westchnień z poetą, którego płody nie są przedmiotem krytycznej analizy, ale powodem do poufnej z czytelnikiem rozmówki.

Na wstępie autorka pawiada, że poglądy swoje opiera tylko na gawędach i rymach ulotnych, a jednak w dalszym ciągu stara się rzucać ogólne uwagi o charakterze talentu Syrokomli, starając się nawet zarysować jego działalność na tle współczesnych stosunków, których szkicowy zarys jest najlepszą częścią pracy i posiada wartość w poglądach szczegółowych. Na stępuje potem wyliczenie różnych przymiotów Syrokomli, poprostu, cała litania cytat, wypełniających znaczną część tej niewielkiej broszurki. Chociaż autorka utrzymuje, że Syrokomla może się obejść bez „rekomendacyjnego listu,“ jednakże starała się podkreślić niektóre rysy w działach poety, ażeby ułatwić wniknięcie w jego ducha. Bezwątpienia dobra krytyka nie obejdzie się bez cytaty, trzeba jej jednak użyć umiejętnie, aby była wyjaśnieniem lub poparciem sądów rozbioru, albo też dosadnym rysem, charakteryzującym poetę. W każdym jednak razie zbyteczną cytatę lepiej zastąpić przez odnośnik, gdyż przeładowanie tekstu krytyki urywkami pism autora jest właściwem w pracy informacyjnej, przeznaczonej dla czytelników nieobeznanych z przedmiotem, mającej zadanie pedagogiczne, ale w poważniejszem studyum może być dowodem, że autor sam od siebie niema wiele do powiedzenia o krytykowanem dziele. Bywały wprawdzie czasy, gdy historye literatury i artykuły krytyczne zamieniały się u nas na zbiór wypisów, gdy Wójcicki zapełniał szpalty *Biblioteki Warszawskiej* potopem takich sprawozdań, niemających żadnej wartości literackiej; ale dzisiaj znikła bez śladu pobłażliwość, która pozwalała się wypisywać przepisywaczom pozującym na historyków. Pani Kościałkowska nie idzie bynajmniej tym torem wygodnego zszywania skrawków cudzej myśli, ale nie umie tak ułożyć obfitych cytat i poglądów, aby z nich wypływała dosadna plastyczna charakterystyka poety. Dowiadujemy się z jej rozprawy, że Syrokomla kochał naturę, że nie skarżył się nigdy na nieprzyjazne losy, że cierpiał i tęsknił bez goryczy, że był poetą skromnym, przemawiał do serca słuchaczy, z którymi wiązały go bratnie spójnie, że nie poświęcał swej muzy na opiewanie szałów i cierpień miłosnych, że był demokratą, bronił spraw ludu w duchu swojsko obywatelskim, że nie był poetą fantastycznym i szybującym w nadziemskich sferach, ale trzymał się ziemi. Zbyt ryzykownie pani K. przyznaje poezyom Syrokomli zalety realizmu, zapominając widocznie, że głównym przymiotem pisarza realisty jest o ile można największa przedmiotowość, gdy tymczasem Syrokomla był poetą nawskróś indywidualnym, otaczał obrazy swoje mgłą melancholii i idealizował je w każdym niemal szczególe. Nie był on, prawda, przesadnie idealnym, nie bawił się w fantasmagorye i nadobłoczne loty, ale nawet w takich czysto rodzajowych utworach jak: „Stare wrota,“ „Janko Cmentarnik,“ był smętnym lirnikiem, serdecznym elegistą bardziej, niż plastycznym malarzem. Gdyby autorka poglądy swoje opierała na szerszej podstawie, uwzględniając wszystkie dzieła Syrokomli, to możeby zauważyła, że w „Chatce w lesie“ jest on poetą idealnej, szelankowej miłości, że w „Margierze,“ „Wyroku Jana Kazimierza“ i w „Karlińskim“ brak realizmu i plastyki jest główną wadą utworów, że w całej masie lirycznych pism Syrokomli panuje podmiotowa poezya uczucia, która z realizmem artystycznym we właściwem znaczeniu tego słowa niewiele ma wspólnego.

Jaki zaś jest charakter fantazyi i umysłu Syrokomli, jakie żywioły psychiczne wchodzą w skład jego twórczości, jakiej siły i wartości jest on artystą? te pytania nie zajęły wcale pani K., która zresztą przesłoniła oczy różową gazą na wszystkie ujemności wychwalanego wieszcza, dostrzegając w jego utworach jedną tylko skazę, to jest: pośpiech i zaniedbanie oraz widoczne chwilami ubóstwo i trywialność rymów. I na ten jednak zarzut nie może pani K. przytoczyć dowodu, gdyż wymienione przez nią rymy niby kulawe (żyto — znakomity, zajęli — najweselej, wyborze — może) należą właśnie do bardzo dobrych, ponieważ opierają się na podobieństwie fonetycznem, pomimo różnic ortograficznych i gramatycznych. Podług tej zasady trzebaby przetrzebić mnóstwo pysznych rymów Mickiewicza i Słowackiego, (jak np. tworzę — Boże, wstręta — talenta, cielsko — anielską, palisz — paraliż) dla tego tylko, że końcówki tych wyrazów piszą się niejednakowo. Stosując tego rodzaju sądy o poetycznej formie, musielibyśmy chyba powrócić do częstochowizny, albo kantyczkowej nieudolności rymowania w takich pierwotnych zabytkach poezyi naszej, jak pieśń o Wiklefie lub o porażce grunwaldzkiej z XV wieku. Wogóle krytyka pani Kościałkowskiej, nieopierająca się na metodycznych podstawach, zdobyła się zaledwie na kilka szczegółowych uwag, mających pewną wartość zwłaszcza w ocenie społecznego stanowiska Syrokomli i jego stosunku do kobiet, stanowiącego kontrast z rycerskością i marzycielstwem romantyków naszych.

J. Kotarbiński.

Kronika petersburska.

Ruch reformatorski. — Rewizya senatorów. — Ważność zebranego materyału.—Obudzenie się ziemstwa. — Sprawawłościan „wremienno obiazannych.“ —Działalność zebrania obywatelskiego. — Wnioski Szakiejewa i bar. Fryderyksa, oraz prośby do tronu. Kochańska.

Petersburg, 10 marca.

Pomimo klątw, rzucanych przez znaczną część rosyan na Petersburg, owo „bagno czuchońskie,“ jak go niegrzecznie nazywają, nie przestaje on jednak odzwierciedlać w swych mętach ogólnego biegu życia; a chociaż cechy czysto narodowe odbijają się w nim zapewne nie tak wyraźnie i plastycznie, jak w Moskwie, za to życie officyalne tu jest najwidoczniejsze. Ztąd, jak z głównego węzła, rozchodzą się na wsze strony różnobarwne nici, oplatają się w koło ziem i ludzi, gmatwają się wzajemnie, rwą lub przynajmniej tracą barwę, i niepoznane nieraz wracają do swego pierwotnego źródła — wysokich stołecznych gabinetów, by wybiedz z nich na powrót, jeżeli nie całkiem nowe, to chociaż zabarwione inaczej. Dziś, po dwudziestu latach, ubiegłych od chwili wielkich reform wewnętrznych w Rosyi, więcej niż kiedykolwiek daje się czuć potrzeba zmian głębszych. Z góry i z dołu sypią się projekta reform w przeróżnych postaciach, a ci, co pamiętają czasy przedzielone od nas dwoma dziesiątkami lat, widzą wiele podobieństwa ich z dzisiejszymi.

Rewizye senatorskie, najwięcej budzące zajęcia, najwięcej też budzą nadziei, pomimo że program ich jest prawie całkiem nieznany i że niektóre tylko fakta oddzielne, w rodzaju naprzykład starć senatorów rewidujących z władzami i instytucyami miejscowemi, wychodzą na światło dzienne i stają się zdobyczą dzienników. Nieraz się wprawdzie zdarzało, że po wielkich oczekiwaniach następowały zawody jeszcze większe; trudno jednakże przypuszczać, aby coś podobnego mogło się stać w tym razie. W rezultacie rewizyj pozostanie olbrzymia ilość materyałów, świadczących o stanie obecnym Rosyi i jego przyczynach, a chociaż niepodobieństwem dziś jest zawyrokować, do czego te materyały posłużą, trudno jest wątpić jednakże o ich pierwszorzędnej wadze a także i o tem, że bardzo ważny udział przyjmie w tej sprawie departament 1-szy Senatu Rządzącego, którego głównem zadaniem jest, jak wiadomo, dozór ogólny nad wykonywaniem praw w całem państwie, śledzenie nadużyć, w razach zaś bardzo ważnych nawet inicyatywa prawodawcza. Być może, iż nietylko tej jednej instytucyi, przeważnie zachowawczej już z natury samej, już z tradycyj, zostanie powierzony wyłączny kierunek reform wewnętrznych, tego koniecznego wyniku obecnych rewizyj, inne organa zapewne także będą ku temu powołane.

Nie tylko jednak dążenia i marzenia nowe dają się spotrzegać dzisiaj w śród społeczeństwa rosyjskiego. Niezwykle energiczna działalność świeżo zakończonych sesyj zwyczajnych ziemstw gubernialnych i charakter podjętych przez nie kwestyj świadczy również wymownie o powszechnem a gorącem pragnieniu pewnego cofnięcia się wstecz, powrotu do owej przeszłości, kiedy to społeczeństwo, skierowane na drogę rozwoju organicznego i normalnego, drogą praw i reform, wolnem się jeszcze czuło od późniejszych przeróbek i dodatków, tych drobnych gałązek, zakrywających jednak zupełnie swoim cieniem główne konary drzewa. Obfitość tych kwestyj, o których wspomnieliśmy wyżej, częstokroć wychodzących znacznie po za obręb życia miejscowego, ziemskiego, wprawiła w przyjemne zadziwienie tych nawet, którzy oddawna już przestali wierzyć w dodatnie znaczenie ziemstwa w ogólności, w możebność jakiejkolwiek poważniejszej inicyatywy z jego strony, zwłaszcza zaś w jego wytrwałość. Widocznie samo ziemstwo zastanowiło się głębiej nad własnym losem, a obliczywszy swoje grzechy, obliczyło też cudze i postanowiło przystąpić do radykalnej kuracyi. To też ciekawe wieści dały się słyszeć z rozmaitych ognisk prowincyj rosyjskich a często bardzo takież powtarzały się z miejsc różnych, jednakowo odczuwających widocznie leżący na nich ciężar. Większość wniosków i projektów miała właśnie na celu powrót do pierwotnego ziemstw charakteru, a więc do uwolnienia się z pod przeważnego wpływu administracyi. Prosto ku temu zmierzały naprzykład wnioski co do reformy zarządu szkół ludowych, mającej na celu powiększenie w nich znaczenia pierwiastku ziemskiego, dla usunięcia zbyt dotkliwego mięszania się administracyi podczas wyborów urzędników ziemskich, dla zniesienia świadectw gubernatorskich, wydawanych kandydatom na sędziów pokoju, dla zawieszenia działalności „uriadników“ wiejskich.

Daleko więcej nowego spostrzegamy w dążności ziemstw i zjazdów szlacheckich, zmierzającej do uregulowania stosunków włościańskich, dziś jeszcze. po latach dwudziestu, dość smutno wyglądających. Idzie tu głównie o kategoryę tak zwanych „wremienno-obiazannych“ włościan, to jest pozostających dotąd, względem swych dawniejszych panów, w pewnych stosunkach zależności, powstałych i trwających w skutek niemożności wykupienia przeznaczonej im ziemi. Stan tych ludzi, bardzo licznych jeszcze, gdyż stanowią $1/6$ włościan w ogólności, jest coraz opłakańszym, tem bardziej, iż wartość ziemi powiększyła się prawie w czwórnasób od czasu reformy a już wówczas była za wysoką dla włościan. Rząd jednak, czując całą nieprawidłowość podobnych stosunków, wobec których swoboda jest chyba prostą marą, postanowił przystąpić na seryo do ich zmiany. Powstał projekt wprowadzenia wykupu obowiązującego, jak to miało miejsce w guberniach zachodnich i północno-zachodnich, szlachta zaś skłania się do dobrowolnego obniżenia sum wykupowych o 20%, dla ułatwienia włościanom nabycia ziemi. Wiele mówiono także o projektowanych instytucyach kredytu drobnego, mających również na celu ułatwianie włościanom kupna ziemi w kraju. Mogłoby to do pewnego stopnia usunąć konieczność dalszych przesiedleń. Instytucye te nie przestają zajmować publicystów, (np. Jansona, Woroponowa, Orłowa), ziemstwa i instytucyj naukowych, Towarzystwa Wolno-Ekonomicznego i Geograficznego, wydziału statystyki przedewszystkiem. Wszyscy prawie uznają ich konieczność, ale zarazem i ich dotychczasową niewykonalność.

Posiedzenie zjazdu 2 marca odznaczało się jeszcze większem życiem, dzięki wnioskowi podniesionemu przez barona Frydrychsa i hr. Bobryńskiego prezesa a tyczącemu się zmiany artykułu 142, tomu IX Zbioru praw cywilnych. Artykuł ten, określający rodzaj kwestyi, mogących ulegać rozprawom na zjazdach obywatelskich i stawać się przedmiotem próśb zanoszonych do tronu, wyklucza z ich liczby wszelkie sprawy, dotyczące podstaw organizacyi państwowej. Otóż wspomniani mówcy, uznając za potrzebne zniesienie tego ograniczenia, przedstawili zgromadzeniu obywatelstwu konieczność starania się o usunięcie wzmiankowanego artykułu, a chociaż znaleźli się oponenci, zgromadzenie jednak przychyliło się do wniosku barona Frydrychsa, swego prezesa, w złagodzonej do pewnego stopnia formie.

Z tego już krótkiego przeglądu ruchu społecznego w Rosyi widzimy, iż życie wewnętrzne posuwa się tu przyspieszonymi krokami, w stolicy zaś ujawnia się wyraźniej niż na prowincyi.

Na końcu tego obrazu spraw społecznych zanotujemy choć kilkoma słowy tryumf p. S. Kochańskiej. Podczas jej benefisu, cały teatr wielki napełnił się dźwiękami jej głosu, a piosenki polskie w szał wprawiały rodaków. A stawili się oni licznie, jak zawsze, przyjmując znaczny udział w... podarkach złożonych artystce. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby w innych razach tutejsza kolonia polska równie skłonną była do ofiarności. Przykro wyznać, że nie zawsze jest ona taką. Nawet dzienniki rosyjskie, jak np. *Gołos*, zwracają uwagę na to, że ze wszystkich kolonij obcych, jedna polska tylko nie ma tu nawet towarzystwa dobroczynności, chociaż liczy 40—60 tysięcy osób a więc jest najliczniejszą, na wielkie zabawy i pikniki — tysiące kosztujące — wystarcza.

R.

LIBERUM VETO.

Zwycięztwo nowego systematu oświaty i rezultat roczny. — Gdzie zwycięztwo i gdzie nowy systemat. — Rezultat ów dawno osiągnięty u nas. — Pogrzeb Gomolewskiego. — Za co go uczczono. — Spełnienie obowiązku rzadką cnotą. — Rozbitki łużyckie. — Towarzystwo pomocy naukowej. — Jego cel i droga pomocy. — P. Parczewwski. — Przyjacielski menuet z udeptywaniem.—Nie dość zawiązać sobie oczy, żeby być Temidą. —Krytyczne kacerstwa i stosy.— Piotr z Amiens naszej prasy.— Nie polski, lecz katolicki. —Trudność zgody.

Pogłoski o zmianach osobistych w ministeryum oświaty *Poriadok* ucisza zapewnieniem, że kto stanie na czele tego wydziału spraw, jest już dziś rzeczą obojętną, gdyż każdy musi się zastosować do nowego zwrotu w wychowaniu; rok zaś urzędowania p. Saburowa, mimo pozornej jałowości, przyniósł tę korzyść, że wykazał niezmierną „popularność sprawy szkolnej.“ *In magnis voluisse sat est.* Zasadę tę pisma rosyjskie stosują w takim rozmiarze, że często własną swoją chęć biorą za wolę rządu, własne swoje pobożne życzenia za przepisy ustawy. Podobnem złudzeniem upaja się widocznie, bardzo w innych sprawach trzeźwy, *Poriadok*, gdy zapowiada tak stanowcze zwycięstwo nowego systematu, że wobec niego obojętną jest rzeczą, kto ster ujmie w swe dłonie. Wyłączywszy bowiem projekty i pragnienia gazet, nietylko nie świętowaliśmy żadnego tryumfu nowej metody publicznego wychowania, ale nawet nie wiemy, czy ona została w zasadzie uznaną. Wszystkie instytucye szkolne toczą się ciągle po tych samych relsach, które im hr. Tołstoj podłożył a chyba paru rozporządzeń nie można brać za nowy system. Jak dawniej, tak i obecnie gimnazyum jest klasycznem dotąd najżywotniejsze nauki wyłączone z programu, dotąd trwa opiłowywanie kantów samodzielności, dotąd szkoła jest układaniem *par force* istot mających chodzić za nogą, *Poriadok* uważa za dostateczny plon siewów i zbiorów rocznych ujawnienie się „pupularności sprawy szkolnej.“ Po co było na ten rezultat czekać tak długo, aż rok cały? Dla przejechania z Petersburga do Warszawy potrzeba tylko 36 godzin; gdyby *Poriadok* odbył tę podróż, przekonałby się, że przynajmniej u nas od lat kilkunastu sprawa ta ani na chwilę nie przestała być popularną.

Dość było spojrzeć przed kilku dniami na pogrzeb nauczyciela Gomolewskiego.

Liczna drużyna uczniów kilku pokoleń odprowadziła jego zwłoki do grobu, a jeżeli rozpłakała się nad nim tylko łzami, to dla tego, że słowa musiały pozostać... w sercach. A miały to być słowa ludzkie, proste, bezpieczne, słowa szczerej wdzięczności uczniów dla nauczyciela, które nie potrzebowały i nie mogły przebierać się w urzędowy mundur. Cudzoziemiec, wobec tej czci milczącego orszaku, otaczającego trumnę, zapytałby niezawodnie: czem zmarły na nią zasłużył? W szczególnych warunkach naszych spoczywa głęboko ukryta odpowiedź na to pytanie. Nie umarł geniusz, nie umarł wielki bohater, ale zwykły, znany i rozumny przewodnik młodzieży, który filologicznymi klinami nie rozbijał jej głów, który z kamiennego systematu wykrzesywał mozolnie życiodawcze iskry, który go ogrzewał ciepłem swego serca, który dźwigał upadające pod brzemieniem nauki umysły wątlejsze, który ojcowskiem okiem zaglądał nieustannie w dusze, w serca, w niedostatki swych uczniów. Rzućmy te skromne przymioty na tło naszego szkolnictwa, a odbije się na niem wyjątkowa piękność charakteru. Żyjemy w czasach i warunkach, w których spełnienie obowiązku staje się niezwykłą cnotą a niepokalana uczciwość bohaterstwem. Z listków jej upleciony wieniec zasługi złożyli uczniowie na trumnie swego nauczyciela. I czemu nie pozwolono im otworzyć ust, przez które wylać się chciały tylko uczucia wdzięczności i żalu?

W murach naszego miasta mieliśmy miłych gości, dwóch łużyczan, pp. Jana E. Smolera i Michała Hornika. Przyjechali oni do nas w odwiedziny, ze skargą na niedolę i prośbą o pomoc. Jak wiadomo czytelnikom *Prawdy* (z n-ru 9) garstka tych pokrewnych nam rozbitków, uczepiwszy się deski z dawnego polskiego okrętu, wytęża wszystkie siły, ażeby nie zatonąć w niemieckiem morzu i nie zginąć w paszczach jego rekinów. W tym celu zakładają oni własne towarzystwa, drukarnie, wydają pisma i książki, któremi rozdmuchują gasnącą i gaszoną iskierkę życia narodowego. Brak im wszakże dostatecznej liczby ludzi ukształconych i zamożnych, którzyby mogli wnieść większe siły do ciężkiej walki o byt. W r. 1880 Kraszewski ofiarował im do woli mu pozostawione wsparcie publiczne, z którego założyli *Towarzystwo pomocy naukowej*. „Udajemy się zatem — powiadają w swej odezwie — z prośbą do szlachetnego narodu polskiego, aby nas w tej potrzebie, od której zaspokojenia życie lub śmierć ludu naszego zależy, wsparł i domógł narodowość naszą od zatraty ocalić.“ Łużyczcy serbowie powołują się przytem na najbliższe z nami pokrewieństwo w rodzinie słowiańskiej i przypominają dawne związki historyczne. „My jeszcze — wołają — słowianami jesteśmy, więc mamy nadzieję w Bogu, iż teraźniejsi polacy dopomogą, że my i nadal słowianami będziemy.“ Ale jaki jest cel owego towarzystwa pomocy naukowej? „Pieniężna pomoc dla młodych łużyckich serbów, w zakładach naukowych przygotowujących się do duchowieństwa, nauczycielstwa, adwokatury, medycyny, agronomii i t. d.“ „Członkiem towarzystwa może zostać każdy za opłatą 1 marki rocznie, kto zaś sumę znaczniejszą złoży, zostanie członkiem honorowym, dostanie dyplom, zapisanym będzie do złotej księgi.“ Listy i posyłki adresować należy; *Pfarrer Hornik in Bautzen* (*Sachsen*). Czytelnik ma w powyższych objaśnieniach dostatecznie wskazany cel i drogę swej ofiarności, za przewodnika zaś w wątpliwościach posłużyć może p. A. Parczewski, adwokat w Kaliszu, który jest jedynym czynnym śród nas krzewicielem współczucia dla serbów łużyckich. O nim rzeczywiście powiedzieć można, że orze u nas zagon, którego dotąd żaden pług nie dotknął.

Teatr zamknięty, koncerty ucichły, nawet zabawy prywatne innowierców nie wystawiają na ciężką próbę religijnej tolerancyi *Kuryera Warszawskiego*, któremu przyśniły się laury Stöckera, post więc prawdziwy. Tem swobodniej krytyk teatralny tego pisma zatańczył sobie w jego suterenie przyjacielskiego menueta z autorem dramatu *Na jedną kartę*. Nie mielibyśmy nic przeciwko tej zabawie, gdyby szan. tancerz był w niej dość ostrożnym i w zapale nie udeptywał innych, którzy mimo całego uznania dla jego krytycznych *pas* do przyjacielskiego menueta wciągnąć się nie dadzą. Entuzyastyczne podskoki rozumiemy, ale co znaczy deptanie cudzych nóg? Czy ci, których Bóg skarał kalectwem niepojmowania pewnych „arcydzieł,“ przeszkadzają szczęśliwszym napawać się wszystkiemi ich wonnościami? Zresztą nie każdy jest Temidą, która sobie zawiązał oczy, zwłaszcza dla osądzenia tego, co dobrze rozpatrzeć należy. Jakkolwiek mózg wypełnia nam ściśle całą czaszkę, nie mieści on w sobie wszystkich rozumów. Trzeba chociaż odrobinę pozostawić bliźnim, trzeba uwierzyć, że ktoś nie dla tego ma inne od nas uszy i zęby, ażeby nam dokuczyć, ale dla tego, że takie mu natura dała. W naszej prasie nie pierwszy to raz inkwizycya sprawozdań teatralnych procesuje się z krytycznem kacerstwem i pali je na stosie. Zeszłego roku ktoś odważył się w *Gaz. Polskiej* zganić komedyę Bałuckiego, którą powszechnie chwalono. Dano też dano temu tatarowi! Ślubował pewnie do końca życia nie pisać teatralnych sprawozdań a nadewszystko nie mieć własnego zdania.

Mniej szczęśliwym w urządzaniu wypraw krzyżowych jest Piotr z Amiens naszej prasy — *Przegląd Katolicki*. Pismo to co tydzień skazuje na zagładę jedną Sodomę i czeka tylko siarczystego deszczu, ażeby dopełnić swej zemsty. Nie widując tego zdelezowanego grzmotu, późno dowiadujemy się o jego gromach. I dla tego dziś dopiero mam przyjemność podziękować sz. Filokomesowi za jego zaturkotanie przeciw *Prawdzie*. Mrugnąć z uśmiechem do augura można, ale spierać się z nim trudno, zwłaszcza gdy on na publiczne pytanie moje: dla czego napada, kiedy ani jego, ani kościoła u nas nikt nie zaczepia — odpowiedział w sądzie: „*Przegląd* nie jest *polskim*, ale *katolickim*.“ Jakże z takim organem pogodzi się inny, który znowu jest polskim?

Poseł Prawdy.

TEATR.

Rodzina Dylskich obraz dramatyczny w 5-tu aktach z życia mieszczańskiego przez M. Bałuckiego. — *Jesienią* komedya w 1-ym akcie Świderskiego. — *Z rozpaczy* komedya w 1-ym akcie M. Gawalewicza. — *W ogrodzie* komedya w 1-ym akcie A. Mostowskiego.

Doczekaliśmy się przecie tego, że scena nasza zaczyna spełniać naprawdę swoje obowiązki względem literatury oryginalnej, rachując się z głosem opinii, w obec której dawniejsi jej kierownicy okazywali nieuleczoną głuchotę. Repertuar dramatu wcale na tem nie traci, że odżywają w ostatnich czasach utwory swojskie, znajdujące żywszy odźwięk w umysłach i sympatyach słuchacza. Wśród ostatniej seryi nowości scenicznych największą i najbardziej godną uwagi jest „Rodzina Dylskich“ pięcioaktowy dramat M. Bałuckiego, który w naszej belletrystyce jest najlepszym bezwątpienia malarzem sfer małomieszczańskich. Dramat p. B. pod tym względem mniej bogaty w treść obyczajową, aniżeli powieść „Byle wyżej,“ z której go autor przerobił, ponieważ w kompozycyi scenicznej musiała odpaść cała panorama barwnych typowych scen i obrazów, które w niej autor roztacza, dowodząc jak zwykle dobrej obserwacyi i wiernego rysunku objawów potocznego życia. Zarówno jednak treścią jak i opracowaniem „Rodzina Dylskich“ jest sztuką nawskróś mieszczańską i należy do repertuaru czysto popularnego. Widzimy tu losy różnych członków rodziny ubogiego stolarza, który dla pokierowania synów i zapewnienia im karyery nie waha się przywłaszczyć cudzych przypadkowo pozostawionych pieniędzy. Jego syn, który stał się wspólnikiem kradzieży, palony żądzą wyniesienia się, dąży do pozyskania bogactw i znaczenia, idąc po stromej ścieżce prawniczych szacherek i podłości a nawet występków. Niewdając się w bliższą charakterystykę treści, powiemy tylko, że autor konsekwentnie prowadzi do upadku swego ujemnego bohatera, który pada rażony apopleksyą, oślepły, zawiedzony w nadziejach, przegrawszy wszystkie stawki w tej grze życia, wysnutej z samych brudnych i nikczemnych instynktów. W upadku tym tkwi nietylko żywioł dramatyczny, ale i moralna przestroga dla wszystkich, którzy, niezadowoleni uczciwą miernością, szukają szczęścia w pogoni za korzyścią, nieopartą na rozumnej i uczciwej pracy. W duszy swego bohatera autor skupił ciemne namiętności i instynkta, jakie rodzą się wśród proletaryatu patrzącego na panoszenie się sprytnych spekulantów, aferzystów i karyerowiczów; wystudyował doskonale z życia ten charakter zimno egoistyczny, który zna tylko prawo własnej ambicyi, zagłuszywszy w piersi najszlachetniejsze uczucia. Wśród naszych zdrobniałych stosunków znalecznych, Marcin Dylski należy do znanego w poezyi typu gienialnych łotrów, tych demonów w ludzkiem ciele, dla których bystry rozum jest tylko narzędziem w zbrodniczym pochodzie ku ambitnym celom. Jest to mieszczański Ryszard, Jago albo Egmont, działający w zaciemnionej sferze, niemający tragicznej grozy, ale prawdziwy w każdym rysie, bardzo dobrze wzorowany z natury. Skreślenie tego wykończonego pełnego wyrazistości charakteru jest największą zasługą autora i najważniejszym przymiotem dramatu, który zresztą posiada kilka innych jeszcze postaci typowych i prawdziwych. Dla uwydatnienia barw głównej postaci i silniejszego zaakcentowania morału sztuki, p. B. wprowadził tu szereg scen, ukazujących losy innych członków rodziny, rysując je dość nikłemi barwami. W całym składzie i budowie widać intencye moralne autora, który występuje jako obrońca uczuć rodzinnych, stawia ludziom skromnej pracy ideał cichego szczęścia, ukazując katusze moralne i katastrofy na stromej drodze nieuczciwej karyery. Dążność ta nadaje sztuce charakter trochę pedagogiczny, odpowiedni jej przeznaczeniu. P. B. moralne intencye umiał wcielić w ruch życiowy, poprzeć argumentami faktów, roztoczyć dużo prawdy w sytuacyach i charakterach. Całość napisana prosto, bez pretensyi, nie wznosi się w sfery wyższej artystyczności, ale jest dobrą, pod każdym względem odpowiadającą swemu celowi, jest pierwszym prawdziwie udatnym dramatem mieszczańskim w literaturze naszej.

Na małej scenie wykonano tę sztukę nie świetnie, ale sumiennie. Część główną roli p. Waliszewski potrafił dobrze utrzymać na swych barkach i przedstawił postać bohatera w trochę ogólnikowych, lecz efektowych zarysach. W innych rolach panie: Lebrun, Czaki i Borkowska, panowie: Stromfeld, Galasiewicz i Holtzman, pracowali zmniejszem lub większem powodzeniem.

Urokiem świeżości i werwy młodzieńczego talentu zaleca się skromna komedyjka

„Jesienią,“ będąca wcale pomyślnym płodem nowozaciężnego pod sztandary dramaturgii pracownika. Jest to wdzięczny, różowo rysowany obrazek życia wiejskiego dworu, w którym autor przedstawia zabawnie skojarzone na poczekaniu małżeństwo podżyłego kawalera i przekwitłej panny. W ośmieszone postacie zwiędłej dziewicy i zasuszonego celibataryusza autor potrafił wlać dość serdecznego ciepła, łącząc je z rysami subtelnego komizmu. Ten jesienny romans dobrze odbija na tle serdecznego pożycia milutkiej pary, kreślonej ciepło i mile, a wśród tej grupy rodzinnej uwija się jedna postać bardzo dobra, stary zrzędzący dziadzio, doskonały typ domowego szkodnika i przekory. Jak na pierwszą próbę komedyjka ta posiada znaczny zasób scenicznej zręczności i umiejętnego wyzyskania sytuacyi. Pomysł jej świeży, postacie żywe i sympatyczne, z całości wieje poczucie prawdy i pewnego nawet poetycznego wdzięku, tchnienie talentu skromnego, ale rzeczywistego. P. Świderski jako pisarz rodzajowy wstąpił na tę samą drogę spokojnej przedmiotowości, na której tak pięknie rozwija się Bliziński, z którym zdolność młodego autora posiada, jak się zdaje, pewne pokrewieństwo. Sztuka jego na scenie sprawiła sympatyczne wrażenie, tembardziej, że znakomita gra p. Rapackiego, Ostrowskiego Galasiewicza i bardzo dobra pana Prażmowskiego, panien Czaki i Gilskiej, stworzyła rzadko napotykaną na naszej scenie harmonię wykonania.

Komedyjka p. Gawalewicza „Z rozpaczy“ jest zaprzeczeniem znanego przysłowia o kręceniu bicza z piasku. Autor istotnie potrafił napisać wesołą, ruchliwą i zabawną anegdotkę sceniczną z tematów, które przyprowadziłyby do rozpaczy każdego, kto nie posiada sztuki zgrabnego puszczania literackich baniek mydlanych. Puste to, czcze i lekkie, ale barwne, zabawne, śmiejące się, czasami dowcipne a zawsze wesołe. Jest to właściwie suma figlów scenicznych, dokonanych zapomocą ruchu karykatur, które przesuwają się przed oczyma widza czeredą komicznych chińskich cieni. Drobnostka ta wymyka się, właściwie mówiąc, z pod krytycznego skalpelu i zasługuje na pochwałę jako płód wesołości i sprytu, podniesiony wyborną grą p. Ostrowskiego, Chomińskiego, Tatarkiewicza i Szymanowskiego, którzy urządzili prawdziwe wyścigi gumoru.

Przedstawienie komedyjki p. Mostowskiego „W ogrodzie“ jest objawem zbytniej już pobłażliwości dla utworów amatorskiej muzy. Pan M., wytrwale szturmujący do Parnasu tuzinami komedyj, którym brak wszystkiego, co komedyi potrzeba, doczekał się wreszcie, że jedno z jego licznych duchowych niemowląt wpuszczone zostało na deski pierwszej polskiej sceny. Dzieciątko powiedziało parę wesołych konceptów a zresztą szczebiotało rzeczy znane, oklepane i blade. Komedyjka ma wprawdzie pewne podobieństwo do Romea i Julii, bo kochanek włazi przez parkan do swego ideału, które zajmuje wysoką pozycyę, nie na balkonie wprawdzie, lecz na huśtawce, ale publiczność niepoznała się na tem pokrewieństwie pomysłów. Grający w tej nicostce artyści: panna Czaki, pp.: Szymanowski i Tatarkiewicz, zasługują na pochwałę należną gorliwym adwokatom przegranej sprawy.

S. K.

W PERSPEKTYWIE.

(Żuk Nicolaus).

Od jednego z abonentów *Prawdy* odbieramy list następujący:

„Słońce nauki w Wilnie dawno już zagasło; ostatnie jego promienie jeszcze za dni naszych przyświecało swym blaskiem nietylko zachodnim guberniom ale i wschodowi Europy; teraz i one gasną, a pozostałe nam w spuściźnie szczątki jako odłamek od wielkiego światła niszczą niebaczni, nie umiejąc uszanować ani pamiątki, ani przeszłości.

W czasach dzisiejszych, kiedy odszukujemy wszystko co ma związek z naszą świetniejszą umysłową przeszłością i staramy się wykazać naszą dawną cywilizacyę, wydajemy pomnikowe dzieła, niech mi wolno będzie wspomnieć i słów kilka poświęcić skromnemu nabytkowi rękopismów ucznia medycyny wszechnicy wileńskiej z lekcyj sławnych na owe czasy profesorów, wykładających prawie przed pół wiekiem. Choć znaczna jest wprawdzie różnica jak co do wiedzy tak i w wymaganiach pomiędzy lekarzami dzisiejszymi i ówczesnymi, jednakże każdy z tych ostatnich, wstępując w świat z akademickiej ławki, przy skromnych zdobyczach wiedzy wysoko pojmował godność swego stanu i nauki, którą reprezentował.

Przypadkiem dowiedziałem się o popełnieniu wandalskiego czynu. Żydzi handlujący rodzierali pomiędzy sobą kartki ze starych ksiąg lekarskich w kramach, zawijając niemi pieprz i świece. Uważałem wtenczas za obowiązek ratować stare zabytki od zatracenia. Lecz niestety tylko niektóre książki nie zdążyła zniszczyć przemysłowa ręka kupiecka i te uratowałem ogółem, kupując za cenę 2 rs. 75 kop. Pomiędzy staremi rupieciami, znalazłem obok rachunków gospodarskich i książek domowych (jak naprzykład takich, w których było zapisano, ile ojciec wydał na buty dla syna swego Mikołaja, lub ile dał na odpuście dla ubogich, lub ile na kościół ofiarował) cenne dzieła Józefa Franka *De praseos medica universa*, a obok starych dzieł Meissnera *Słownik łacińsko-polski* z r. 1719 z drukarni XX. Bazylianów, w konwikcie których musiał właściciel się uczyć, a obok kalendarzy berdyczowskich, znalazłem 6 tomów rękopisów łacińskich z lekcyi profesorów wileńskich z r. 1832—1836. Na wszystkich książkach był podpis łaciński właściciela *Żuk Nicolaus*. Każdy z rękopisów zawierał od 600 do 1,000 stronic i więcej, pisanych pięknym charakterem i bardzo drobno, język tylko z trudnością zrozumiały, nawet dla wychowańców szkół dzisiejszych, wykarmionych greko-łacinizmem. Z gorączkowym zapałem i uszanowaniem dla przeszłości wziąłem do ręki lekcye terapii Rymkiewicza, anatomii Bielkiewicza, chirurgii Porcianki, położnictwa Mikołaja Mianowskiego a gdym czytał te dawno dziś zapomniane teorye, w pamięci mojej stanął pracowity uczeń szkoły wileńskiej, który może temu lat 50 przy ciężkich warunkach, znanych zresztą niejednemu z dzisiejszych studentów, o głodzie i chłodzie, układał te lekcye może całemi nocami, które w dzień słyszał; mieszkając gdzieś na poddaszu kamienicy na ulicy Niemieckiej, śniepiszkach lub zarzeczu. Spisane lekcye ukochanych profesorów student szanował, do nich zwracał się w rzeczach wątpliwych jako do wyroczni, bo swych nauczycieli przez całe życie wysoko cenił i nie znajdował im równych pomiędzy współczesnymi, była to zresztą ogólna cecha wileńskich lekarzy. Spójnia i stosunki łączące młodzież z profesorami w owych czasach dziś ze szkodą przestały istnieć.

Właściciel tych rękopisów, po skończeniu studyów uniwersyteckich w Wilnie, zamieszkał w odległej Ukrainie w okolicach Zwinogródki, gdzie przeszło czterdzieści lat mieszkając, zdobył sobie zasłużenie powszechne uznanie jako człowiek i lekarz a zakończył życie przed kilku laty. Chociaż nie znałem osobiście starego kolegi, pioniera armii cywilizacyjnej, którą uniwersytet wileński wysyłał na obszerne ziemie zachodnich gubernij, ale dziś jeżdżąc jako lekarz po tych samych prawie ścieżkach i drogach, po jakich w ciągu czterdziestu lat jeździł dawny kolega, słyszę, na ile to była sympatyczna postać polskiego lekarza dawnego autoramentu, dziś już coraz rzadsza. Wchodząc do domu jako lekarz był i przyjacielem, utrzymywał ten związek, który powinien łączyć lekarza z jego społeczeństwem. My lekarze praktycy, dziś czas wolny od zajęć poświęcając nauce, lekceważymy ten wpływ moralny, jakibyśmy mogli mieć na społeczeństwo.

Ze studentów z tej świetnej a pamiętnej epoki coraz jest mniej pomiędzy nami, z podobnych rękopisów, które przechowuję obecnie jako rzadkość, może to jest ostatni. Czas zniszczył je razem z ludźmi tego okresu.

Tempora mutantur!!...“

Lekarz J. Talko H....

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 17 marca.

Zwykłe fakta polityczne, jakie na tem miejscu notujemy, zeszły w zupełności na dalszy plan wobec katastrofy petersburskiej, która, naturalnie,ześrodkowała w sobie uwagę całego świata.

O samym wypadku podajemy szczegóły na innem miejscu; tu zaznaczymy pokrótce wrażenie, jakie katastrofa wywarła za granicą. Telegramy ze wszystkich stolic europejskich przyniosły w pierwszej chwili wiadomości o kondolencyach dworów i ciał parlamentarnych, które stwierdzają oburzenie na straszne przestępstwo i współubolewanie dla dotkniętej ciosem rodziny cesarskiej i państwa rosyjskiego; dzienniki też, jakie mamy przed sobą, zajęte są prawie wyłącznie zamachem i zmianą tronu, z lekka tylko dotykając innych spraw bieżącej polityki.

W obszerniejszych artykułach prasy przebija się, oprócz zewnętrznej strony sprawozdawczej, wyraźny niepokój wobec niepewności, czy i w jakim stopniu zmiany zaszłe w Rosyi spowodują przekształcenia w układzie międzynarodowych stosunków politycznych. Szczególniej stosunek Rosyi do Niemiec w przyszłości intryguje polityków i dyplomatów. Jakkolwiek osobiste uczucia panujących nie zawsze bywają regulatorem polityki państw, to jednak ścisła przyjaźń, jaka istniała między Cesarzem Aleksandrem II a Cesarzem Wilhelmem, uważaną była za rękojmię utrzymania dobrych stosunków sąsiedzkich i wrzeczy samej tej to przyjaźni i wpływom obu Monarchów zawdzięczają obydwa państwa przytłumienie tego naprężenia, które się ostatniemi czasy tak wyraźnie zarysowało. Dziś więc politykom niemieckim pierwsze nastręcza się pytanie: „Cóż teraz?“ Zagadka ta wyraża się mniej lub więcej dobitnie we wszystkich organach prasy a nikt nie znajduje odpowiedzi jako tako motywowanej. Ważność utrwalenia w dalszym ciągu dobrych stosunków rosyjsko-niemieckich rozumieją wszyscy; nawet *Times* wyraża życzenie i nadzieję, że się te stosunki nie zmienią; wszelako nie brak też przypuszczeń przeciwnych, które, aczkolwiek może mylne, mają tę doniosłość, że przedewszystkiem umocnią w wysokiem stopniu pozycyę ks. Bismarcka, podszarpaną przez zajścia wewnętrzne. Gdybyśmy chcieli wyniki chwilowe wrażeń podsumować, to wy-

ręczy nas najlepiej w tym względzie *Presse* wiedeńska, która tak się wyraża: „Doniosłość zbrodni petersburskiej dla Europy streszcza się w jednem słowie: „zamięszanie powszechne.“ Dzisiaj nikt nie odważyłby się odpowiedzieć stanowczo na pytanie: czego prawdopodobnie spodziewać się można, a to tem mniej, że właśnie polityka Rosyi utrzymywała w ciągłym ruchu dyplomatyczny aparat europejski. Czy nowy Monarcha Rosyi weźmie sobie za cel: utrwalić wewnętrzny porządek w państwie na ten lub ów sposób, czy też zechce stłumić niespokojne żywioły wewnętrzne za pomocą wielkiej akcyi na zewnątrz? Nowy Monarcha, który obecnie spłaca dług uczuciom synowskim, zapewne sam jeszcze nie zapytał Siebie; dopóki zaś nie odpowie Sobie samemu na to pytanie, Europie pozostaje tylko w niepokoju oczekiwać Jego decyzyi.“

Z dziedziny zwyczajnych spraw zanotować nam wypada przynajmniej najgłówniejsze fakta. Układy w kwestyi greckiej prowadzone z Portą przez ambasadorów w Konstantynopolu, zostały podobno zawieszone także z powodu katastrofy petersburskiej. Wedle innych, rokowania trwają w ciszy, konferencya zbiera się u hr. Hatzfelda, lecz widoków powodzenia nie ma żadnych. I w Berlinie już uważają wojnę grecko-turecką za nieuniknioną.

W Izbie deputowanych austryackiej Rady państwa zaszło przesilenie prezydyalne. Marszalek Izby, hr. Coronini złożył tę godność, w miejsce jego wybrano Smolkę.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stowarzyszenia. Na posiedzeniu wydziału historycznego poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk w d. 7 b. m. odczytał p. Ignacy Zakrzewski rozprawę p. t. *Granice Wielkopolski*, w której przedstawił wdzieranie się stopniowe a bezustanne żywiołu germańskiego w granice Polski, oraz opór, stawiany przez polaków chciwym grabieży sąsiadom.

— Towarzystwo polskie w Pradze czeskiej postanowiło zebrać dwutomową *Antologię* literatury polskiej i wydać w przekładzie czeskim. W następstwie ukazać się ma w języku polskim *Antologia* z literatury czeskiej. Wkrótce wyjdzie w Pradze po czesku *Konrad Walenrod* w przekładzie p. Sladka.

Literatura polska. We Lwowie wyszła z druku jednotomowa powieść Józefa Rogosza p. t. *Pokuta.*

— Nakładem księgarni E. Orzeszkowej w Wilnie wyszło świeżo z druku studyum pedagogiczne p. Waleryi Marrené (Morzkowskiej) p. t. *Przesądy w wychowaniu.*

— Dr. Franciszek Kasparek wydał tom II swego dzieła p. t. *Prawo polityczne ogólne.*

— Edmund Chojecki, autor *Alkadara*, zaszczytnie znany w literaturze francuskiej pod pseudonymem Charles Edmund, napisał nową powieść p. t. *Harald*, która ukaże się w fejletonie *Gazety lwowskiej.*

— Nakładem redakcyi *Wędrowca* wyszło z pod prasy dziełko p.t. *Wycieczka w Czorsztyńskie*; skreślił je Bronisław Gustawicz, członek Towarzystwa geograficznego w Wiedniu.

— *Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiej*, wyszedł tom 86 za miesiąc luty r. b. i zawiera *Komedyę ludzką* Balzaca, ciąg dalszy; *Pieśń o Nibelungach*, w przekładzie A. J. Szabrańskiego; oraz *Komedye wybrane* Lope de Vegi, w przekładzie J. A. Święcickiego.

— *Przeglądu bibliograficzno-archeologicznego* zeszyt 4 wyszedł z druku i zawiera prace następujące: *Zapoznane drogi w sztuce polskiej*, przez F. K. Martynowskiego (dokończenie); *Zbiór medali polskich d-ra Rewolińskiego* w Radomiu, opisał C. Wilanowski; *Wydanie krakowskie dzieła Jana z Turrekrematy Explanatio in Psalterium*, opisał Józef Przyborowski; *Monastyr OO. Bazylianów w Podhorcach* przez X. Barącza; *O fabrykach i rękodzielach w dawnej Polsce*, przez Juliana Kołaczkowskiego; *Nowe książki; Kronika.*

Zeszyt *Ateneum* za marzec, zawiera następujące prace: *Wykształcenie klasyczne,* przez P. R.; *Obraz filozofii spółczesnej. II. Anglia i Stany zjednoczone,* przez F. K.; *Przybłędy*, nowella Sewera; *Brandeburgia i Polska w pierwszych latach po traktacie oliwskim*, przez K. Jarochowskiego; *Listy czeskie,* przez Gablera; *Wrażenia z podróży po południowjch okolicach Królestwa Polskiego,* przez Bronisława Reichmana; *Pomysły matematyczne Hoëne Wrońskiego*, przez Maryana A. Baranieckiego; *Z dziedziny przyrody i wynalazków,* przez Stanisława Kramsztyka; *August Mariette,* przez Radlińskiego; *Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie; Kronika miesięczna.*

— Dr. medycyny Czesław Stiche, wydał świeżo pracę swą p. t. *Davos am Platz i inne znaczniejsze stacye klimatyczne Szwajcaryi ze względu na leczenie chorób płucnych pod wpływem górskiego klimatu.*

— Wyszedł z druku obrazek ludowy Ludwika Niemojowskiego p. t. *Marysia Ochocianka.*

— Na pułkach księgarskich ukazał się drugi tom *Dzieł Lucyana Siemieńskiego,* zawierający: *Varia—rozstrząsania i poglądy literackie.*

— We Lwowie w drukarni ludowej wyszła broszura p. t. *Nasze szlacheckie sądy polubowne. Wincenty Pol, p. Spasowicz,* przez Leona Kalm Podoskiego.

— Wyszło z pod prasy interesujące studyum Zygmunta Wróblewskiego p. t. *Fizyka w spółczesnej Francyi.*

— *Biblioteki umiejętności prawnych*, zeszyt 60 wyszedł z druku i zawiera dalszy ciąg pracy senatora R. Hube p. t. *Prawo polskie w XIV wieku.*

Dziennikarstwo polskie. *Gazeta Sądowa* drukuje dodatek nader pożyteczny p. t. *Dziennik praw Królestwa Polskiego,* w którym pomieszczane będą wszystkie rozporządzenia rządowe.

— *Wędrowiec* rozpoczął w oddzielnym dodatku druk opisu podróży p. Jana Finkelhausa p. t. *Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki.*

— *Ekonomista* pomieścił w ostatnim numerze *Projekt ustawy Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.*

Dziennikarstwo zagraniczne. W Paryżu począł wychodzić nowy dziennik radykalny, redagowany wyłącznie przez same kobiety p. t. *La citoyenne.*

Literatura niemiecka. Remeis', *Die Strahlung und die Temperatur der Sonne.* Wydane w Kolonii u H. Majera.

— Wagner. *Der Tod beleuchtet vom Standpunkte der Naturwissenschaften.* Wydane w Bliefeldzie u A. Helmiena.

— Ludwik v. Osten, literat niemiecki, który przetłomaczył z wielkim talentem poemat Lermontowa *Demon*, wydał obecnie w Petersburgu zbiór poezyj hr. Aleksandra Tołstoja i Mikołaja Niekrasowa p. t. *Dichtungen von Graf Alexei Tolstoj und Nicolai Nekrasow.*

— Oetingen, *Die obligatorische und facultative Civil-Ehe vom Stand punkte der Moralstatistik.* Wydane w Lipsku.

— W roku 1781, wyszło dzieło Kanta *Krytyka czystego rozumu.* W roku bieżącym z okoliczności setnej rocznicy wydania tego dzieła prof. dr. Edmund Pfleiderer z Tübingen napisał broszurę p. t. *Kantischer kriticismus und englische Philosophie.* Wydane w Halli u Pfeffera.

Literatura francuska. W Paryżu wyszło dzieło Lucyana Biart p. t. *L'homme et son berceau.*

— Nakładem Charpentiera w Paryżu ukazał się w handlu księgarskim tom trzeci dzieła Duret'a p. t. *Histoire de quatre ans.* Pierwsze dwa tomy tego dzieła poświęcone są historyi upadku cesarstwa, oraz okresu obrony narodowej.

Literatura angielska. Przygotowano do druku trzeci tom listów Karola Dickensa, wydawanych staraniem pani Dickens i panny Hogarth (siostry żony słynnego powieściopisarza).

— *Wspomnienia* Tymasza Carlyel'a wyszły w dwu tomach u Fronda w Londynie.

— Nakładem Waquelina Londynie wyszło dzieło Macaulaya p. t. *Lays of ancient Rome.*

Literatura czeska. Zjednoczeni księgarze w Pradze wydali katalog dzieł, któremi zbogaciły się literatury słowiańskie w ciągu 1879 r. Redakcyą katalogu tego zajmowali się pp. Howorka i Kloucek.

Literatura rosyjska. N. D. Szygarin, redaktor wychodzącej w Kijowie *Biblioteki zapadnoj połosy Rossii,* napisał świeżą broszurę: *Czto nużno dla naszeho zbliżenia s Polakami?* Wydał on równie *Obszczepoleznyj kalendar* na rok 1881, w językach: rosyjskim, polskim, przeznaczony dla użytku mieszkańców gubernii zachodnich.

— Miesięcznik rosyjski *Myśl* pomieścił w zeszycie za luty ciekawy szkic, wyświetlający ciemne strony różnych sekt religijnych w Rosyi.

Malarstwo i rzeźba. Na wystawę warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły następujące dzieła: Zbązkiego Ewarysta *Kałamarz pamiątkowy, ofiarowany A. E. Odyńcowi;* Dowgirda Tadeusza *Zamieć śnieżna;* Łosia Włodzimierza *U kowala;* Małeckiego Władysława *Zagroda wiejska* i *Wnętrze lasu;* Niszczenkowa Aleksandra *Wodospad Aunak Kelesi w górach Taurus;* Ruśkiewicza Franciszka 4 krajobrazy: *Wiosna, Lato, Jesień, Zima;* Redlicha Henryka, sztych podług obrazu Munkaczego, *Ostatni dzień skazanego.*

— P. Rossowski, którego ostatni obraz *Skazana* wywołał pochlebną nader ocenę krytyki miejscowej, wykończa dwa większych rozmiarów obrazy: *Ostatnie dnie Znicza* i *Przybycie królowej Jadwigi do Krakowa na koronacyę.*

— Wandalin Strzałecki, bawiący obecnie w Monachium, wykończył świeżo trzy obrazy: *Otrucie ks. Mazowieckiego, Powieść Rybałta* i *Portret własny.* Obrazy te przybędą niezadługo na wystawę warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuch Pięknych.

Muzyka. Verdi pracuje obecnie nad ukończeniem nowej opery p. t. *Jago*, którą wystawi Teatr *La Scala* w Medyolanie. Przerabia on jedną z oper dawniej skomponowanych p. t. *Simon Boccanegra.*

Teatr. W Bremie wystawiono dramat Rudolfa Gotschalla p. t. *Auf rother Erde.* Krytyka niemiecka wyraża się o utworze tym pochlebnie.

— Najnowsza sztuka Dumasa *Princesse de Bagdad*, wystawiona w teatrze Valle w Rzymie, upadła.

— W teatrze Karola w Wiedniu przedstawiono wesołą operetkę komiczną p. t. *Wiener Kinder.*

Nekrologia. Ks. Tupy, znany pod pseudonimem Jabłońskiego w literaturze czeskiej, w której jako poeta liryczny jedno z pierwszych miejsc zajmuje, umarł przed kilkunastu dniami w Krakowie, gdzie przy udziale licznych, z Czech przybyłych deputacyj, pochowany został.

Czeskie towarzystwo „Svatobor“ w uznaniu znakomitych zasług, jakie zmarły położył na polu piśmiennictwa czeskiego, postanowiło zwłoki jego przewieść do Pragi, co też przed kilku dniami dopełniono.

Sprostowanie. W N-rze 11 *Prawdy*, str. 121 wiersz 3 od góry zam. *wchechwładny* czyt. *wszechwładny*; str. 128 wiersz 57 od góry zamiast u *wszystkich* innych, winno być u *wielu* innych.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Ценсурою. Варшава, 6 Марта 1881г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.